

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 16 SIERPNI 1930 ROKU

NR. 33

TREŚĆ NUMERU: W dziesięciolecie zwycięstwa—*Stefanja Podhorska-Okolów*. Bitwa warszawska w roku 1920—*Wł. L.* Gdy kobieta polska walczyła—*Janina Lada-Walicka*. Jak uczcili wolność—*Natalja Jastrzębska*. Poezja: „Sieroty”—*M. Czerkawska*. Kwiaty i gwiazdy—*Felicja Kruszewska*. Na apel—*Regina Zienkiewiczowa*. Strzępy sierpniowych dni—*Marja Dobrowolska*. Warszawianka a groby poległych—*J. Putiatycz-Surynowa*. Z książek—*S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia. Dodatek „Nasza Mównica”: Nie łatwo—*M. Czerkawska*. Zwycięstwo ducha—*Henryk Holstorp*. Słabsi—*M. B.* Mocni—*K. C.* Wczoraj i jutro—*Zofja Persońska*. Jednością—*Lodzianka*. Ofiary—*Częstochowianka*. Tak wszędzie było—*Pola Pawłowska*. Veni—*L. H.* Dodatek „Mody i roboty”: Suknia do bridge'a—*Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie”—*Zofja Reutt-Witkowska*. Tablica kroju.

## W DZIESIĘCIOLECIE ZWYCIĘSTWA

Dziesięć lat mija od zwycięstwa Polski nad bolszewikami pod Warszawą. Dziesięć lat od chwili, gdy ponad huk armat i jęki konających zagrział głos Narodu:

— Nie pójdiesz dalej! —

Był to moment historyczny, pełen niezwyklej powagi i grozy. Oto zaledwie naród stał się nanowo państwem zamodzielnem, zaledwie zaczął rozrastać się w słońcu swobody, a już musiał stanąć oko w oko z widmem odpowiedzialności dziejowej, już musiał dźwignąć na swych barkach ciężar wszechświatowego posłannictwa. Jeszcze nie zdążyło się zabiżnić ciało ziemi, pocięte wszereż i wzdłuż ranami okopów, jeszcze dymyły z niego opary krwi tyłu narodów, przelanej podczas wielkiej wojny, a już zawisła nad niem nowa chmura zniszczenia i klęski.

I nietylko nad Polską. Miała ona przecież być pierwszym etapem w podboju Europy i zagładzie cywilizacji chrześcijańsko-łacińskiej. Zrównać z ziemią wszystko to, co trudem pokoleń zbudowały wieki, oto był naczelny punkt programu bolszewickiego. Nagi człowiek na nagiej ziemi miał budować z niczego nowy świat szczęśliwości powszechnej. To był plan dalszy, ginący we mgłę doktrynerskich mrzonek. Narazie wypełniano gorliwie punkt pierwszy programu. Lawina barbarzyństwa waliła na Europę. W nowej formie odżyły nawpół legendarne najścia hunnów i tatarów. Zaświszczał nad światem nowy bicz Boży. Z pomroki dziejów wyszczerzyła się paszcza wschodniego Molocha.

Historja się powtarza, historja ma swoje godziny

przyływu i odpływu. Znowu przyszła kolej na Polskę, aby piersiami swych synów osłoniła zagrożone w swem istnieniu chrześcijaństwo i cywilizację Zachodu. Jak niegdyś pod Lignicą, potem pod Wiedniem, wreszcie w 1830 roku, gdy, podnosząc broń przeciw despotyzmowi białego cara, na sztandarach swoich wypisała wiekopomne hasło:

— Za waszą i naszą wolność!

Zwycięska wojna 1920 roku stanowi przedłużenie tej samej linii ideowej, jest nowem ogniwem w długim łańcuchu bohaterstwa i ofiary, jeszcze jednym punktem szczytowym walk o byt własny i o wolność ludów, walk, dzięki którym Polska osiąga stanowisko wszechświatowe — jest niejako czwartym słupem, podtrzymującym symboliczne sklepienie, któremu na imię: dziejowe posłannictwo Polski.

To jest jedna, ideowo-historyczna strona tej sprawy. Ale istnieje jeszcze drugie jej oblicze, psychologiczno-moralne, dla chwili obecnej niemniej wymowne i pouczające.

Wszyscy, którzyśmy przeżyli pamiętne dni sierpniowe, nietylko w charakterze biernego świadka, ale jako czynni, choćby tylko w pomocniczej akcji, uczestnicy — nie zapomnimy nigdy tej atmosfery wysokiego napięcia wszystkich władz serca i umysłu, skupionych w jednym wspólnym wysiłku: ofiarnej służby dla ocalenia Ojczyzny.

Zatarły się różnice przekonań, partyj, orientacyj, poszły w kąć interesy jednostkowe i porachunki osobiste, zapomniane zostały wzajemne urazy i krzywdy. Zdawało się, że raz na zawsze urwano łeb tym

dwu hydrom, które niegdyś Polskę doprowadziły do upadku: niezgodzie i prywacie. Na ich miejsce z dusz ludzkich wykwitła jedność i miłość bratnia. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego — to był nieurzędowy, ale wszechwładny nakaz tych dni, kierujący najdrobniejszymi odruchami grup i jednostek; to było nigdzie nie ogłoszone, milczące, a jednak powszechnie wiadome hasło, które miało moc magiczną otwierania wszystkich drzwi, wszystkich serc i wszystkich dłoni w Polsce, rozwiązywania sakiewek, zamykania ust swarliwych, uskrzydlenia nadzieją i wiarą myśli wątpliwych.

I za ten cud wewnętrznego zwycięstwa nad sobą samym, nad własną słabością i ułomnością, nie mniej warto było życie nieść w ofierze, jak za cud zwycięstwa nad wrogiem. Bo przerodzenie się świadome jednostki w ducha dobrowolnych, zbiorowych nakazów — to dalsza, wyższa faza zmartwychwstania narodu.

Dnie sierpniowe były tą próbą ogniową, która z rudy wytopiła metal, z polaka wyzwoliła herosa. Przeciętny człowiek, którego dotychczasowe trąski i aspiracje obracały się w ciasnym kole zarobku i spożycia, w najlepszym razie nie wykraczały poza horyzont ambicji zawodowych lub rodzinnych, odnalazł w sobie drzemiące pokłady bohaterstwa i, zdumiony tem odkryciem, cieszył się, jak dziecko, że danem mu było dożyć takiej chwili, w której ten jego bezcenny skarb — to bezimienne bohaterstwo nieznanego żołnierza — może zaważyć na szali zwycięstwa.

Świadomość tego faktu sprawiała, że człowiek zdolny był wydobyć z siebie maximum możliwości, dać z siebie wszystko i wielokrotnie więcej, niż go na to w normalnych warunkach było stać. Ludzie, którzy poraz pierwszy w życiu trzymali karabin w rę-

ku, bili się, jak lwy, szli na śmierć z odwagą i pogodą bożych szaleńców i — zwyciężali!

\* \* \*

Dziesięć lat minęło od tej chwili. Kości jednych rozsypały się w proch w bratnich mogiłach Radzimina i Ossowa. Kości drugich, zgięte nad pługiem, warsztatem, czy biurkiem, odwykły dawno od ciężaru karabina, plecaka i ładownicy. Na ziemi zarosły darnią mogiły i okopy, zgasły na niebie meteory pocisków. Szary jest dzień dzisiejszy. Nikt od nas nie wymaga czynów bohaterskich, nikomu nie potrzebna jest nasza śmierć. Ale życie nasze w ciągu tego dziesięciolecia jakby nabrało ceny. Drożymy się z niem, nie kwapimy się złożyć go w ofierze Ojczyźnie. To, co dajemy z siebie dla niej, dajemy odniechcenia, jakby z laski. Ostygły serca, popiół obojętności przyduśił płomienie. Tylko w zakamarkach pamięci tli się żar wspomnień.

— Czegośmy to nie dokonali! do jakich cudów waleczności i poświęcenia nie byliśmy zdolni! — pyśnimy się sami przed sobą w poczuciu własnej wartości. I nie jest to tylko czeza chępliwość. Naprawdę, my dużo jesteśmy warci i do wielu rzeczy jesteśmy zdolni. Tylko, że w prywacie, zawiści i niezgodzie grzęźniemy po szyję i ciężko nam się wydobyć z tego trzęsawiska na udeptany grunt twardej, codziennej, nieustępliwej pracy.

Niechże dziesięciolecie zwycięstwa pod Warszawą będzie nam przypomnieniem, że umrzeć za ojczyznę można tylko raz, ale żyć dla niej trzeba każdym dniem, każdą godziną, każdym drgnieniem swego serca. To, cośmy jej ślubowali w pamiętne dni sierpniowe, dni krwi i chwały, tego nam cofnąć nie wolno.

Stefanja Podhorska-Okolów.



Wróblewski Leon.

Epizod z walk 1920 r. Bitwa pod Dobuszynem.

## BITWA WARSZAWSKA W ROKU 1920

Zasadniczy plan bitwy warszawskiej, zakończonej — jak wiadomo — zupełnym rozgromieniem, omal że nie zupełnym zniszczeniem armij sowieckich, nacierających na Warszawę w roku 1920, powstał na długo przed zbliżeniem się walczącego frontu do murów stolicy Polski. Już w okolicach Lidy przejawia się koncepcja uderzenia na lewe skrzydło atakującej grupy nieprzyjacielskiej. Ówczesna sytuacja na froncie uniemożliwia wprowadzenie w czyn tej myśli.

Zupełnie już konkretnie i wyraźnie występuje ta myśl strategiczna Naczelnego Wodza w rozkazie z dnia 27 lipca 1920. Rozkaz ten zapowiada obronę linii Grajewo — Ossowiec — rzeka Narew — rzeka Orlanka — miejscowość Leśna — Brześć nad Bugiem. Projektowane jest utrzymanie tej linii i silne związanie na niej przeciwnika do dnia 5-go sierpnia. Tego dnia silna grupa uderzeniowa, złożona z oddziałów, ściągniętych z frontu południowego i znajdującej się na miejscu grupy poleskiej, miała zaatakować z fortecy Brześć lewe skrzydło nacierającego nieprzyjaciela, przedostać się na jego tyły i zniszczyć go, zanimby mógł dotrzeć do przepraw na Niemnie.

By uwolnić potrzebne do akcji zaczepnej siły z południa, zostaje zarządzona na południu akcja ofensywna 2-ej armji, popartej kilkoma brygadami jazdy. Naczelnny Wódz udaje się do Chełma, gdzie oczekuje wyników tego działania, aby móc natychmiast przerzucić wojska w rejon Brześcia.

Niestety, na wymienionej linii obronnej nie udaje się zatrzymanie nieprzyjaciela. Co najdziwniejsze, obrona załamuje się właśnie tam, gdzie nacisk przeciwnika nie jest bynajmniej najsilniejszy, a natomiast możliwości obronne najlepsze. Najpierw więc oddajemy twierdzę Ossowiec, fortecę nowoczesnej konstrukcji na skrzydle północnym. Dla przeprowadzenia samego planu strata ta nie ma większego znaczenia. Uniemożliwia go dopiero upadek Brześcia nad Bugiem w dniu 1-ym sierpnia. Opanowanie przez nieprzyjaciela Brześcia — tej podstawy wyjściowej do projektowanej operacji — przekreśla odrazu wszelkie możliwości kontr-uderzenia z nad Bugu.

Z tych przyczyn dochodzi do bitwy warszawskiej, będącej właściwie wykonaniem planu uderzenia z Brześcia, w zmienionych tylko warunkach, z doskonałym wyzyskaniem tych zmian na naszą korzyść.

Bitwę warszawską podzielić można, w czasie, na dwie części. Pierwsza część — to obrona Warszawy; druga — to uderzenie z nad Wieprza. Pierwsza rozgrywa się między 13-ym a 16-ym sierpnia, druga rozpoczyna się 16-go.

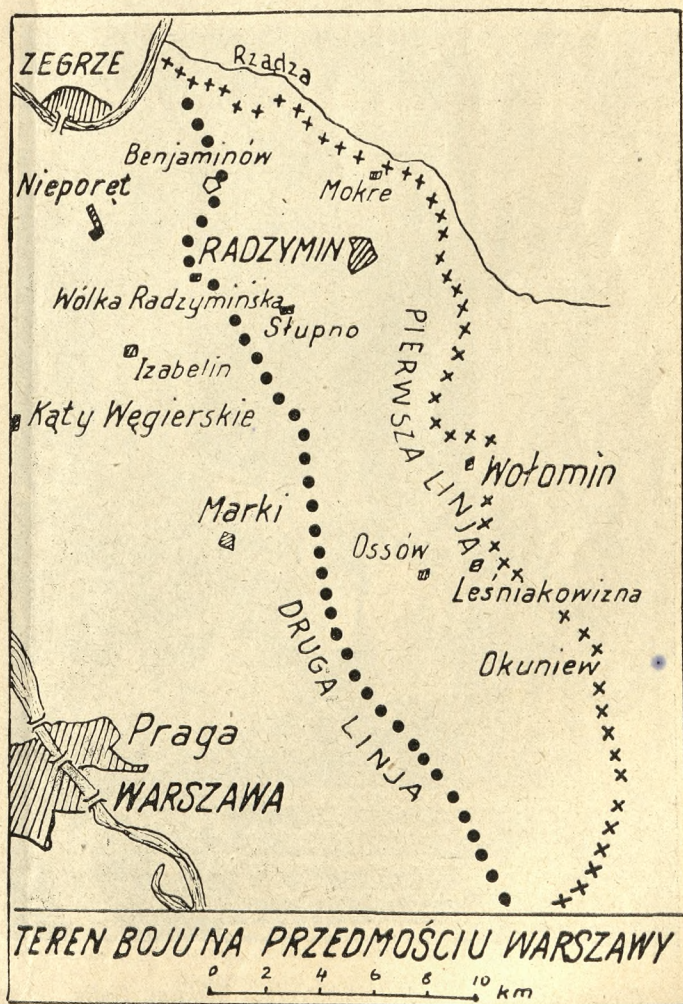
Najtrudniejszą i najcięższą fazą w tej bitwie jest niewątpliwie samo skoncentrowanie grupy ude-

rzeniowej, polegające na wyrównaniu frontu, rekoncentracji oddziałów i umożliwieniu im dwudniowego wypoczynku. Całość tej akcji trwa od wieczoru dnia 7-go do wieczoru 15-go sierpnia. Ruchy, z tą fazą związane, zbyt są skomplikowane, aby je omawiać w ramach niniejszego artykułu. Dlatego zajmiemy się jedynie dwiema fazami bitwy warszawskiej, a mianowicie obroną i natarciem.

Dowództwo frontu północnego, przeznaczonego do roli obronnej, sprawował generał Józef Haller. Dowództwu frontu podlegały trzy armje: 2-ga, 1-sza i 5-ta. Przedmościa (przyczółek mostowy) warszawskiego, a więc stolicy, broniła armja 1sza, pod dowództwem generała Latinika.

Przedmoście Warszawy posiadało linię obronną, wybudowaną jeszcze przez Niemców<sup>1)</sup>. Jednakże linja ta wydała się powstałemu w lipcu komitetowi fortyfikacji stolicy zbyt bliską miasta, wobec czego rozpoczęto budowę drugiej linii, dość niefortunnie wy-

<sup>1)</sup> Na mapce linja kropkowana.



branej, której w dodatku nie wykończono. Linja ta<sup>2)</sup> biegła od Wiązowni przez Leśniakowiznę do rzeki Rządzy i wzdłuż niej do jej ujścia do Bugu, gdzie łączyła się z dawną linią niemiecką.

W chwili, gdy cofające się oddziały linię tę zajmowały, była ona prawie nieodrutowana, z małemi rowkami, nie posiadała urządzeń flankujących i miała odkryte tyły.

Obsada przedmościa warszawskiego była następująca: od Karczewa do Okuniewa — 15-ta dywizja piechoty; od Okuniewa do Leśniakowizny — 8-ma dywizja piechoty; od Leśniakowizny aż do Bugu — 11-ta dywizja piechoty. W odwodzie 1-ej armji znajdowała się 1-sza dywizja litewsko-białoruska, pod dowództwem generała Rządzkowskiego. Był to odwód 1-ej armji. Odwód frontu stanowiła 10-ta dywizja generała Żeligowskiego, znajdująca się w Jabłonie.

Natarcie nieprzyjaciela na przedmoście warszawskie rozpoczęło się w dniu 13-tym sierpnia w godzinach porannych. Zaatakowała tu 21-sza dywizja sowiecka naszą 11-tą dywizję piechoty, rozciągniętą na odcinku przeszło 30-tu kilometrowym. Natarcie to zostało odparte. Nieprzyjaciel ponowił je wieczorem, tym razem już znacznie większymi siłami, gdyż 21-szą dywizję wzmocnił dwiema brygadami swojej wyborowej 27-ej dywizji.



Błogosławieństwo ochotników przez biskupa Galla.

Atak ten zakończył się nad wieczorem pełnem powodzeniem dywizyj sowieckich. Zwłaszcza 46-ty pułk naszej 11-ej dywizji został kompletnie rozbity i niezdolny do dalszej walki. Nieprzyjaciel przedarł się przez 1-szą linię obronną i zajął Radzymin.

Warto tu zauważyć, że od tego momentu, aż do rozstrzygającego uderzenia, Radzymin zaczyna dla części naszych dowództw odgrywać rolę i znaczenie, jakich właściwie nie posiada. Zasugerjonowani niejako istnieniem tego miasteczka, które, ściśle rzecz biorąc, żadnych wartości obronnych wówczas nie przedstawiało, krwawimy się o nie do chwili, gdy zdobycie Mokrego zmusi rośjan do opuszczenia Radzymina, już wówczas bez większego nacisku nań z naszej strony.

Wróćmy jednak do przebiegu wypadków. Zaniepokojone przerwaniem linii obronnej, dowództwo frontu zarządza kontrakcję na Radzymin przez odwodową dywizję litewsko-białoruską; równocześnie zaś wywiera silny nacisk na niegotową jeszcze do akcji 5-tą armję na północy, aby ta przez uderzenie w kierunku północno-wschodnim odciążyła 1-szą armję. Działania 5-ej armji rozpoczynają się wprawdzie w dniu następnym, jednakże na wypadki na przedmościu warszawskim pozostają bez żadnego wpływu, powstrzymując jedynie przeciwnika, pracującego z północy na zachód, co nie jest korzystne dla całości planu Naczelnego Wodza.

Kontrakcja 1-ej dywizji litewsko-białoruskiej — jednej z najlepszych dywizyj, okrytej chwałą w walkach nad Niemnem i Narwią — początkowo odnosi znaczne sukcesy. Radzymin zostaje zdobyty w godzinach południowych dnia 14-go. Jednakże przeciwnatarcie znacznie przeważającego przeciwnika zmusza oddziały nasze do odwrotu. Tracimy nie tylko Radzymin, ale, co gorsza, między lewym skrzydłem dywizji litewsko-białoruskiej, a oddziałami 11-ej dywizji piechoty, w rejonie Wólki Radzyńskiej, powstaje luka, której niema czem załatać. Drobniejsze oddziały nieprzyjacielskie przenikają przez drugą — niemiecką — już ostatnią linię obronną, w kierunku na Iza-belin.

Sytuacja osiąga szczytowy punkt dramatycznego napięcia. Dowództwo frontu posiada już tylko jedną odwodową dywizję, mianowicie 10-tą dywizję w Jabłonie. Dowódca frontu, generał Haller, wraz z dowódcą armji generałem Latinikiem przybywają do Jabłony, zaznajamiają z sytuacją generała Żeligowskiego, przyczem dowódca frontu powierza generałowi Żeligowskiemu dowództwo wszystkich trzech dywizyj, to jest 11-ej, 1-ej litewsko-białoruskiej i 10-ej, oraz poleca przejść w najkrótszym czasie do przeciwnatarcia, celem odzyskania Radzymina i 1-ej linii obronnej.

Generał Żeligowski, objąwszy dowództwo grupy i zorientowawszy się osobiście w położeniu na froncie,

<sup>2)</sup> Na mapce oznaczona krzyżykami.

decyduje się na wykonanie ataku dopiero ze świtem dnia następnego. Nie chce i nie może ryzykować walki nocnej, wobec tego, że jego dywizja jest ostatnim odwodem Warszawy. Poza to akcją nocną utrudniłoby przemieszanie się różnych oddziałów na froncie i łatwo doszłoby do wzajemnego zwalczania się oddziałów polskich.

Generał decyduje się odzyskać najpierw drugą, to jest niemiecką linię obronną, poczem obsadziwszy ją i zapewniwszy jej obronność, uderzyć na Mokre. Zdobycie tego punktu uniemożliwi nieprzyjacielowi utrzymanie się w Radzyminie.

Nastaje pamiętna noc z 14-go na 15-ty sierpnia. Ściągnięte do Nieporętu pułki 10-ej dywizji wyczekują świtu, godziny zapowiedzianego ataku. Nieprzyjaciel, po sukcesach dnia nieobjawiający zbyt wielkiej aktywności, ma właściwie otwartą drogę na Pragę, od której znajduje się w odległości conajwyżej 16-tu kilometrów w linii powietrznej.

Jednakże natarcie rozpoczyna się nie o świcie, jak zamierzał generał Żeligowski, lecz już o godzinie 1-ej w nocy. Oto bataljon porucznika Pogonowskiego z 10-ej dywizji rozpoczyna samorzutną akcję, atakując Wólkę Radzymińską. Wólka Radzymińska znajdowała się w owej chwili na tyłach części sił 27-ej dywizji sowieckiej. Pułki tej dywizji, idące na Izabelin w kierunku Jabłonny, usłyszawszy ogień na swych tyłach, zaczynają się cofać. W ten sposób samorzutna akcja porucznika Pogonowskiego, który natychmiast po rozpoczęciu walki padł ranny śmiertelnie na pobojowisku, ma wszelkie cechy momentu przełomowego.

O świcie rozpoczyna się uderzenie pułków 10-ej dywizji pod dowództwem pułkownika Tommego. W szybkim tempie odzyskujemy drugą (niemiecką) linię obronną, poczem, po umocnieniu się na niej, rozpoczynają się długotrwałe, zaciekle i przewlekające się boje o Mokre. Jakkolwiek w walkach tych ponosimy krwawe straty, jednakże jest już widoczne, że szala szczęścia wojennego przeważa się na naszą stronę. O owej nocy z 14-go na 15-ty powiada w swojej książce „K Wisle i obratno“ dowódca dywizji sowieckiej Putna: „Struna, którą naciągaliśmy od Bugu — pękła“. W walkach o przedmoście zginęli śmiercią walecznych: bohaterski dowódca 9 pułku piechoty major Stefan Walter (śmiertelnie ranny), kapitan Downar Zapolski z wileńskiego pułku strzelców, porucznik Pęczkowski z 28 pułku piechoty i inni. Na odcinku 8-ej dywizji padł dowódca bataljonu 236 pułku porucznik Matarewicz, kapelan tego bataljonu ksiądz Skorupka i szereg ochotników.

Mówiąc o bitwie warszawskiej, nie można pominąć milczeniem licznych oddziałów ochotniczych, które wówczas wydatnie zasilały szeregi armii polskiej. Składając ofiarnie życie na polach Radzymina, Nasielska, Ossowa i wielu innych pobojowiskach, ochotnicy dali świadectwo tężyzny Narodu, walecznego w obronie swej wolności i najświętszych praw.

Walki o przedmoście trwają w dalszym ciągu w dniu 16-ym. O świcie tego dnia rusza gwałtownie z nad Wieprza uderzenie, kierowane osobiście przez Naczelnego Wodza. Trafia ono w bok nieprzyjaciela, nacierającego na Warszawę, absolutnie nie przewidującego siły i rozmiarów tego natarcia. Z rozmów, prowadzonych wówczas przez dowódców dywizyj sowieckich, wynika, że do świtu dnia 17-go nie wiedzą oni, co się dzieje, i mówią o jakiejś „małoważnej“ grupie partyzantów, działającej z rejonu Dębłina. Ujawnione w dniu 17-go sierpnia popołudniu zniszczenie 8-ej, 10-ej i częściowo 17-ej dywizyj sowieckich otwiera im oczy na faktyczny stan rzeczy. Jest już jednak zapóźno.

Rozpęd uderzenia Wodza Naczelnego nie da się niczem powstrzymać. Rosjanom chodzi już tylko o uratowanie wojsk od zupełnej zagłady.

Bitwa warszawska, zakończona pełnym naszym zwycięstwem, stała się nietylko wygraną jednego państwa w wojnie z drugim: zadecydowała ona o przekreśleniu ambitnych planów dyktatorów sowieckich.

Jak ongi przed laty — odegramy znowu rolę przedmurza Europy od Wschodu.

Wł. L.



Ks. Ignacy Skorupka, jeden z bohaterów, którzy zginęli śmiercią walecznych w obronie Warszawy.



Pierwszy raz z karabinem w rękę.

JANINA ŁADA-WALICKA

## GDY KOBIETA POLSKA WALCZYŁA

(Z dziejów Ochotniczej Legji Kobiet)

Ochotnicza Legja Kobiet — wojsko kobiece, walczące z bronią w rękę — to zjawisko niepowtarzalne nie tylko w historii Polski, ale w dziejach świata. Powstała samorzutnie, siłą faktu, gdy trzeba było wzmocnić wątłe zastępy żołnierzy. Powołał ją do życia rozkaz najwyższy. Rozkaz Ojczyzny.

Listopad 1918 roku we Lwowie — ta najdziwniejsza, legendą cudowną już osnuta, obrona kresowego grodu — był tym momentem, który dał kobiecie sposobność okazania w całej pełni ukrytych w jej duszy pierwiastków bohaterstwa oraz wytrwałości i dzielności fizycznej.

Lwów był przez wojnę doszczętnie prawie wyludniony z mężczyzn w wieku poborowym — znalazły się od razu kobiety. Bez wieców, posiedzeń, nawoływań. Rozproszone po oddziałach męskich — bądź jako sanitariuszki, bądź jako żołnierze z bronią w rękę — oddały sprawie polskiej nieocenione usługi, odwagą i wytrzymałością w trudzie wojennym podnosząc nastrój ogólny, przykładem porywając i zachęcając kolegów i pobudzając ich do współzawodnictwa. Ile miękkih imion kobiecych wpisanych zostało do rycerskiej księgi obrony Lwowa, ile tych imion wyrytych jest na skromnych krzyżykach cmentarza Orląt!...

W pamiętnym tym listopadzie utworzony został osobny oddział kobiecy dla służby kurjerskiej. Zorganizowany przez p. Aleksandrę Zagórską i liczący początkowo 12 dziewcząt, mieścił się konspiracyjnie w ukraińskiej części Lwowa i czynny był przy Komendzie Uzupelnień. Przekroczenie linii bojowej połączone było z największym niebezpieczeństwem — a te właśnie linie ustawicznie przekraczały kurjerki. Zadaniem ich było zbieranie wywiadów, werbowanie ochotników, przeprowadzanie ich z ukraińskiej części miasta do polskiej, przenoszenie meldunków i rozka-

zów bojowych. W tej pierwszej organizacji wojskowej kobiecej tkwił załazek powstałej już po listopadzie Ochotniczej Legji Kobiet.

Z początku Ochotniczki te dniem i nocą pełniły służbę bezpieczeństwa w mieście i na jego peryferiach, nadto oddawały nieocenione usługi Komisji Poborowej, sporządzając spisy mieszkańców w domach i odstawiając do Komisji mężczyzn w wieku poborowym, ukrywających się przed wojskiem (bo byli i tacy!).

W grudniu 1918 roku objęły Legionistki poraz pierwszy posterunki wartownicze, pełniąc służbę w niezmiernie uciążliwych warunkach. Wywiązały się z zadania „prawdziwie po wojskowemu“, co stwierdzały rozkazy i pisemne podziękowania komendantów. W styczniu 1919 Legionistki zostały przekształcone na organizację czysto wojskową na warunkach żołnierzy Wojsk Polskich. Tymczasem wieść o bohaterstwie kobiet lwowskich rozeszła się po całej Polsce. Zachęczone przykładem Lwowianek, poczęły się zgłaszać do O. L. K. kobiety z innych dzielnic Polski. Zwerbowane przez Marię Rodziewiczównę w Warszawie, przybyły oddziały z Królestwa. W tym okresie wydzielono z kompanij szturmowych walczące w nich kobiety i przydzielono je do Legji, tak, że w lutym 1919 roku O. L. K. liczy już 350 żołnierzy.

Ciężkie nad wyraz to były czasy. Lwów odcięty od świata, pozbawiony wody, światła, wygłodzony do ostateczności, bombardowany ustawicznie, wśród pękających granatów i szrapneli; miasto ociemniałe, miasto-szpital, miasto-obóz, broniony przez dzieci i kobiety. Legionistki nie miały ciepłego ubrania, ani nawet całych butów, gdy stały na mrozie na kilkunastogodzinnych wartach. Zato wszystkie miały ciężko odmrożone nogi i ręce, zato wszystkie prawie miały wysoką gorączkę, a mimo to lazaret O. L. K. świecił pust-

kami, bo żołnierze O. L. K. trwały na posterunkach. Sypią się wciąż rozkazy pochwalne i podziękowania z ówczesnego dowództwa, które powierza im teraz bardzo odpowiedzialne stanowiska. Oddziały ubiegają się o posterunki kobiece. Zdobywczy wojenna, transporty wartościowe, aprowizacja, kasy — wszystko to znajduje się pod opieką Legjonistek. Przytaczamy tu charakterystyczny dokument: jedno z niezliczonych zapotrzebowań na warty O. L. K.

DOWÓDZTWO WOJSK POLSKICH  
NA GALICJĘ WSCHODNIĄ  
KWATERMISTRZOSTWO L. 2569/K.

*Do Dowództwa Ochotniczej Legji Kobiet.*

Proszę donieść, czy Dowództwo O. L. K. mogłoby wysłać na przestrzeń kolejową Barszczowice—Krasne oddział, złożony z jednego oficera i stu karabinów, celem strzeżenia zdobywcy, wywiezionej z Brodów, około 600 wagonów.

Kwatermistrzostwo zwraca się z tem do O. L. K., ponieważ ma pełne zaufanie, że O. L. K., jak zwykle, spełni swe zadanie wzorowo i nie dopuści do rozgrabienia tych drogocennych rzeczy.

Inne rozkazy stwierdzają: „nadzwyczajną przytomność umysłu, żelazne poczucie obowiązku, pogardę niebezpieczeństwa, odwagę osobistą, sprawność w boju, wzorowe zachowanie się“, co oddziaływało „nadzwyczaj korzystnie na podniesienie sprawności bojowej i moralności“.

W maju 1919 zawiązuje się druga placówka służby wojskowej kobiet, a to w umęczonem Wilnie, za inicjatywą patriotycznych jego mieszkanki. Szybko powstaje Oddział O. L. K., przeznaczony pierwotnie do służby watowniczej, pomocniczej i zastępczej. Jednakże samo życie inaczej rozporządza losem tego bataljonu, bo w roku 1920 wyruszył w bój przeciwko zastępom bolszewickim. Jak walczył — świadczą o tem

najlepiej komunikaty sowieckie, rozlepione na ścianach czerezczajek.

Warszawa dopiero w lipcu 1920 r., pod naciskiem bliskiego niebezpieczeństwa, decyduje się utworzyć z istniejącego już oddziału O. L. K. Bataljon Linjowy, liczący około 400 ochotniczek, a składający się z dwóch kompanij piechoty i oddziału karabinów maszynowych. Dowództwo nad nim objął kpt. Rudzki, kompanjami dowodziły: por. Gertzówna i ppr. Rudowska, dowództwo oddziału K. M. objęła ppr. Kremarówna.

Stolica Polski zagrożona, ściśnięta pierścieniem podsuwającego się do przedmieść nieprzyjaciela, syła kwiecie swym obrońcom i oklaskami witała przeciągające oddziały Legji Kobiecej, oceniając jej rolę w dziejowej godzinie i rozumiejąc bohaterstwo dziewcząt, ofiarnie oddających życie za Ojczyznę.

Jako rzecz charakterystyczną, podajemy urywek z Rozkazu Operacyjnego gen. Zawadzkiego, Komendanta Grupy, do której zaliczono Bataljon Linjowy O. L. K.

D-TWO GRUPY GEN. ZAWADZKIEGO

*Warszawa, 13 sierpnia 1920 r.*

*Rozkaz Operacyjny Nr. 5.*

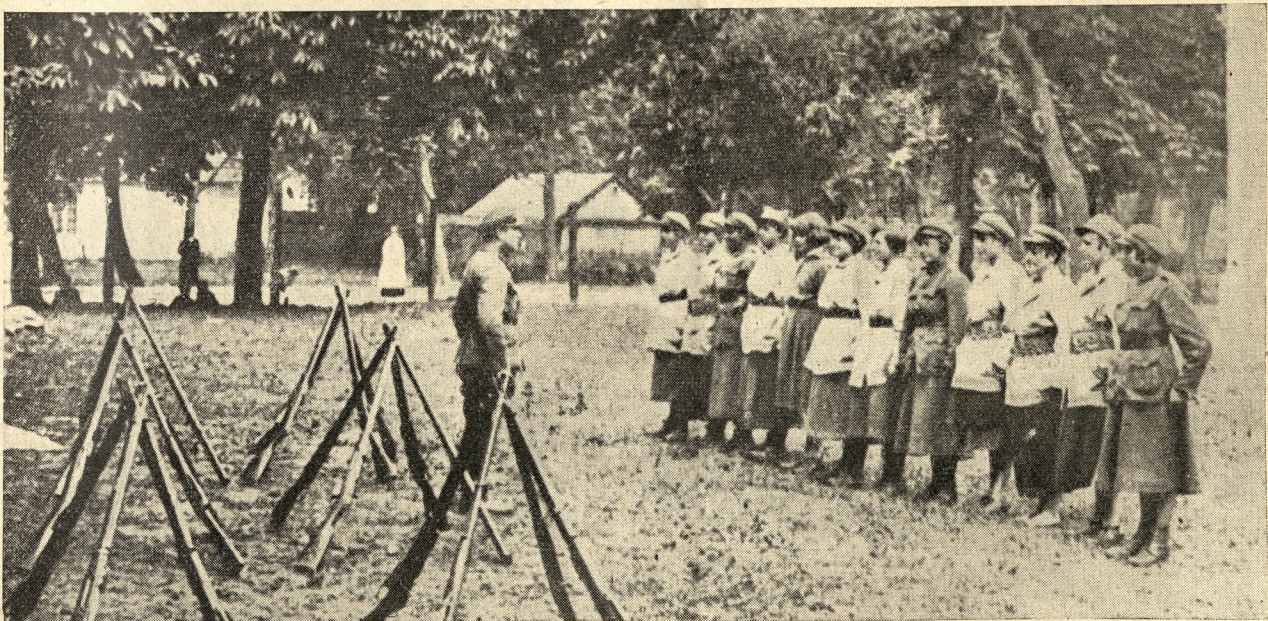
1. Na wschód od Warszawy ugrupowany nieprzyjaciel otrzymał rozkaz zdobycia Warszawy i uderzy 14 sierpnia na I Armję, ugrupowaną na wschód od Warszawy.

2. Zarządzam 14 sierpnia obsadzenie *Noyeau*<sup>1)</sup> na prawym brzegu Wisły. Zadaniem tej grupy jest powstrzymanie nieprzyjaciela na peryferji Pragi i niedopuszczenie go do wtargnięcia w obręb miasta.

3. Obsadza następująco:

Odcinek 1. (Ochotnicza Legja Kobiet na prawym skrzydle, aż do szosy Grochowskiej włącznie)... i t. d. i t. d.

<sup>1)</sup> Ośrodek.



*Ćwiczenia Legjonistek.*



Na posterunku.

....,Wczesnym rankiem 14 sierpnia — opowiada autorka szkicu historycznego p. t. „Ochotnicza Legja Kobiet“ — Bataljon O. L. K. wyruszył pod Grochów i zajął tam wyznaczony mu odcinek. Towarzyszyła oddziałowi Komendantka Legji mjr. Zagórska z adjutantką por. Paleolog... Zdążył dochodzić huk armat, a nocami gorzały łuny na niebie. Noce te wymagały jednak wyteżonej czujności Legjonistek, bo wiadomem było, że nieprzyjaciel starać się będzie zwykłą swoją w tej kompanji taktyką, przerzucić oddziały kawalerji poza linje naszego frontu i, celem wywołania popłochu wśród ludności i odpowiedniego efektu w prasie zagranicznej — wpaść na Pragę“.

Zwycięska kontrofensywa armji polskiej odrzuciła od Warszawy cinę wojsk czerwonych.

Warszawskiemu Bataljonowi Linjowemu O. L. K. nie danem było zmierzyć się z nieprzyjacielem. Teraz zaczyna bataljon pełnić służbę garnizonową w opuszczonych przez bolszewików miastach i miasteczkach (Łuków i okolice), patroluje w lasach, poszukuje rozproszonych resztek band sowieckich, używany jest do służby wartowniczej, eskortuje jeńców i transporty, zaskarbiając sobie wszędzie wdzięczność miejscowej ludności.

W październiku 1920 r. część bataljonu przeniesiono do Wilna, część przeznaczono do służby wartowniczej w Dęblinie i Zajezierzu.

Tak zakończył żywot

*„Ów Baon Linjowy,  
Co za Ojczyznę unrzeć był gotowy“.*

Umrzeć! Tak, śmierć nie była straszna tym młodym dziewczętom; nie straszne im były gorsze od śmierci nieraz rany i kalectwo. Przez paroletnie wytrwania na najcięższych posterunkach, przystosowanie się do najgorszych warunków, przystosowanie trudów życia wojskowego w czasie wojny — wykazała kobieta polska, że entuzjazm jej i chęć służenia Ojczyźnie z bronią w ręku nie był ogniem słomianym, lecz potężnym płomieniem, który zwykłe żelazo w stal bohaterstwa zamienia. Nie dla zaszczytów, honorów, odznak, korzyści materialnych zaciągały się w szeregi.

Stały w potrzebie.

Odeszły cicho, gdy Ojczyzna zwolniła je ze służby.

NATALJA JASTRZĘBSKA

## JAK UCZCIŁY WOLNOŚĆ

W działalności patriotycznej i obywatelskiej kobiety polskiej nie łatwo jest odnaleźć początek.

Nawet w czasach najdawniejszych, nawet w epoce, gdy niewiasta kądziel tylko przędła, umiała z tej kądzieli uczynić narzędzie propagandy powszechnego obowiązku, przypinając ją opieszalym w służbie ojczystej, aby ich zawstydzić i zmusić do stanięcia w szeregach obrońców kraju.

Męstwem i zasługą wojenną, męską jaśnieją niewiasty kresowe; mądrością, gospodarnością, wychowaniem synów i córek na dzielnych obywateli Rzeczypospolitej odznaczają się polki przez długi szereg wieków.

Cnoty rozwijają się i rosną w miarę potrzeby niedoli; w bohaterskich porywach powstała kobieta nie pozostaje na uboczu. Jest z początku tylko sanitariuszką, opatrującą rannych, myślącą o posiłku i schronieniu żołnierzy, ale już w rewolucji listopadowej staje kobieta do walki orężnej. W powstaniu styczniowym dziejowy przykład Platerówny pociąga za sobą dziesiątki kobiet, a służba ich nie ustępuje męskiej w niebezpieczeństwie. Nie mniej, niż na polu bitwy, narażają się kurjerki, rozwożące pocztę, przebiegające nocą, niemal pod kopytami koni kozackich, z rozkazem, wiadomością, ostrzeżeniem.

W czasach największego ucisku w trzech zabo-



rach kryje się konspiracyjne życie polskie, ogarniając wszystkie dziedziny, zarówno prace polityczne, jak oświatowe i społeczne. Kobiety trwają w nich bez przerwy, biorąc na barki trudy i niebezpieczeństwa. Ich mrowczym, cichym czynem jest nielegalna nauka dzieci we wsiach i miastach; one, pod pozorem dobroczynności, organizują pierwsze stowarzyszenia społeczne; one zaprawiają się do działalności politycznej w pierwszych nielegalnych stronnictwach, bez ambicji stanowisk i wpływów, skromne „pomagierki”, obładowane bibułą, przechowujące broń i ludzi zagrożonych; one poznają więzienia i wygnanie. Z chwilą wybuchu wojny, jedne są w Strzelcu i P. O. W., powtarzając znow, na stokroć tylko większą skalę, służbę styczniowych kurjerek i wywiadowczyń; drugie dziesiątkami tysięcy wstępują do służby sanitarnej i obywatelskiej, wśród biedy i głodu, w zamęcie zmieniających się rządów, prawie w chaosie walki tworząc instytucje społeczne, ratując uchodźców, żywiąc, odziewając, ucząc i uświadamiając szerokie rzesze społeczne.

A gdy powstaje Niepodległa, organizują czyn orężny: pierwszą w świecie formację wojskową kobietą, Legję ochotniczą, broniącą Lwowa.

Wdzięczna ojczyzna nie pozostaje im dłużna: bez walk i targów kobieta polska otrzymuje od razu pełne prawa obywatelskie.

Jako taką równouprawnioną obywatelkę, zastaje ją rok 1920. Historia tego pamiętnego roku jest epoką w działalności obywatelskiej kobiet w Polsce, gdyż poraz pierwszy w dziejach występuje kobieta w nowoczesnych warunkach, w pełni praw, w wolnej ojczyźnie.

Ale ojczyźnie tej grozi zagłada. Trzeba podwoić i potroić wysiłki, trzeba nauczyć się wszystkiego, pracować bez wytchnienia, organizować z minuty na minutę, trzeba oddać nie tylko czas, zdolności i siły i mienie: trzeba oddać dzieci, nie, jak dawniej, synów dorosłych, ale wszystkie: i czternastoletnich chłopców-

harcerzy i dziewczęta, harcerki i sanitariuszki w czołówkach i legjonistki.

Umiały, wytrwały i oddały.

Nie uważały tego nawet za specjalną zasługę, tylko za obowiązek. Organizacje i stowarzyszenia kobiety przechowały dzieje tego roku krwi i chwały w krótkich, suchych pozornie, cyfrowych „sprawozdaniach z działalności”, jak zwykle, jak co roku zestawianych. Nawet dopytać się nie łatwo. Dwudziesty rok? sierpień? — No, naturalnie, sanitariat, szpital, punkty opatrunkowe, żywnościowe, czołówki, opieka nad żołnierzem, nad rannymi i uchodźcami, instruktorstwo, harcerki, legjonistki — to wszyscy robili, cały kraj, to nie przecie!

„Nic to”, jak mówił pan Wołodyjowski. Tylko to „nic” dla siebie, wszystko dla ojczyzny i wolności objęło cały kraj, ogarnęło wszelką pracę, wspierało, krzepiło i ratowało.

Koło Polek przygotowuje trzy wagony-hurtownie, dla wojska, 40 gospód z apteczkami, z tych wraca z frontu 6, organizuje się jednak ponownie 80. Podczas odwrotu z pod Kijowa, siostry i gospodynie pracują do ostatniej chwili, wracają z żołnierzami, często piechotą, opatrując po drodze rannych i pielęgnując chorych. Pracownica gospody, p. Janina Niedźwiecka przywozi do Brześcia cały pociąg ocalonych od bolszewickiej niewoli; Ewa Waroczewska i Anna Uzarzewiczówna giną w czasie walk; siedem sióstr umiera na tyfus.

W Warszawie punkty opatrunkowe Koła na dworcach obsłużyły przeszło dwa miliony żołnierzy, jednocześnie tysiąc członkiń stanęło do służby sanitarnej i dezynfekcji w walce z epidemjami. Pracowały z bezgranicznym poświęceniem, szorując same wagony, ustępy, narażając się na każdym kroku. Zorganizowane przez Koło pralnie zabierały z frontu brudną bieliznę, piorąc ją i dezynfekując, a przesyłając żołnierzom czystą. Utworzono też wysyłkę na



Pierwszy opatrunek.

front odzieży, książek, gazet. Prócz centrali, działają 202 Koła prowincjonalne, obejmujące 87340 członkiń.

Koło Pracy Kobiet zbiera dla wojska wszystko, co się da: od pieniędzy, bielizny i ubrania do opatrunków i butelek do lekarstw, których dziesiątki tysięcy przesyła Czerwonemu Krzyżowi; sekcja pomocy dla żołnierza opiekuje się pancerką „Mściciel”; wysyła tysiąc kilkaset paczek różnym pułkom; tworzy ognisko, obliczone na 40 żołnierzy, gdzie przebywa do stu. Ze szwalni Koła wychodzi około 80 tysięcy sztuk bielizny dla armji.

Stow. Zjedn. Ziemianek, w łączności z Kołem Polek, oraz Białym i Czerwonym Krzyżem organizuje również szpitale, czółówki i gospody, opiekę nad poszczególnymi pułkami i pomoc dla uchodźców z Kresów. Podobnie Narodowa Organizacja Kobiet wysyła paczki na front, zegnawia wychodzące pułki i opiekuje się nimi, deleguje członkinie do Służby Narodowej Kobiet, w skład której wchodzi wszystkie działające wówczas stowarzyszenia kobiece, jako organizacja służby przy armji ochotniczej.

Związek Kobiet Prac. w Handlu, Przemysle i biurowości organizuje zbiórki, kursy ratownicze, z których dochód idzie na armję ochotniczą, oraz tworzy Koło opieki nad ochotniczą Legją Kobiet. Pracownice igły z „Dźwigni”, szyją bieliznę, wiosłarki ofiarowują czółówkę sanitarną.

Nie poprzestając na pracy w istniejących już związkach, tworzą kobiety nowe: w lipcu 1920 r. nauczycielki i uczennice szkół zawodowych organizują stowarzyszenie Służba Obywatelska; 450 kobiet dziennie szyje w stolicy bieliznę, ubranie i odznaki dla wojska; ta kobieca intendentura pomocnicza otrzymuje specjalne podziękowanie za pracę od intendentury armji. A najmłodsze, harcerki stają wszystkie. Rozkaz komendy naczelnej żeńskiego harcerstwa powołuje je do służby pomocniczej, nie określając bliżej jej rodzaju: robić wszystko, czego będzie potrzeba. I te niedorośle dziewczęta robią wszystko: pogodą, humorem i wiarą młodości przeciwdziałają panice, roznoszą żywność, pełnią służbę sanitarną i gospodarczą, idą z pułkami, jako opiekunki niewiele od siebie starszych uczniów-ochotników, pracują w utworzonych przez siebie dwóch czółówkach: „Czuwaju” i „Czujuce”, w szpitalikach harcerek, w gospodach i na dworcach, na prowincji i w stolicy.

Najpierwszą sprawą w czasie wojny jest zaopatrzenie żołnierza w żywność i odzież, leczenie chorych i rannych; ale prócz materialnych, nie zaniedbały kobiety i moralnych, duchowych darów. Sekcja Propa-

gandy Naczelnego Dowództwa zwróciła się do związanej w Wilnie w 1919 r. organizacji instruktorek oświatowych o utworzenie służby kulturalno-oświatowej dla armji. I oto w zamęcie walki, ciągle na froncie, dwieście przeszło kobiet rozwoziło książki, pisma, organizowało odczyty i pogadanki z przezroczami, krzepiąc ducha, dostarczając wieści i rozrywki.

A Matki Chrzestne? to już dziesiątki tysięcy kobiet ze wszystkich sfer, które opiekowały się żołnierzami, przesyłając im znów materialne dary: drobiazgi, słodycze, papierosy i najcenniejsze, moralne: listy, będące często dla tych licznych, którzy stracili bliższą rodzinę, jedynym echem jej miłości i opieki.

Prócz czysto kobiecych organizacji pracowały kobiety we wszystkich stowarzyszeniach mieszanych, z których dwa: Biały i Czerwony Krzyż tworzyły podstawę pomocy dla żołnierza. Cyfry transportów na front Polskiego Białego Krzyża są wprost zawrotne: obsługuje on 480 kantyn i gospód, dociera do najdalej wysuniętych odcinków, dostarcza 3 miliony sztuk ubrania, 5 i pół miliona kilogramów żywności, wartości 82 tysięcy dolarów.

Sekcja Sióstr Polskiego Czerwonego Krzyża liczy 5 tysięcy sióstr, rozrzuconych w szpitalach polowych i wewnętrznych, w pociągach sanitarnych, na punktach ratowniczych, opatrunkowych i dezynfekcyjnych, w obozach repatriantów i uchodźców. Prócz sióstr-sanitarjuszek, pracują w Czerwonym Krzyżu zastępy kobiet w rejestracji i opiece nad jeńcami, w aprowizacji, w biurach informacji i korespondencji, tych dwóch działach, które rodzinom niosły wiadomości o walczących.

Powstałe przy wszystkich prawie szkołach Koła opieki nad uczniem-żołnierzem prowadzą matki i siostry najmłodszych bojowników.

I tak wszędzie i wszystkie, studentki, artystki i robotnice, ziemianki, żony wysokich urzędników i skromne kobieciny-gospodynie. Jak w Płocku i Włocławku: przełożona pensji i służąca, jak w Maciejowicach: Franka Szatow. I to już nietylko praca — to bohaterstwo.

Jednego tylko nie potrafiły: nie umiały głosić swego poświęcenia.

Powojenną literaturę Europy zaśmiecają różne „eposy”, w rodzaju Remarque’a, które czyta, niestety, i młodzież polska, a niema książki o pracy i walce kobiety polskiej w czasie wojny. Nie zliczy nikt i nie spisze ofiar i trudów, setki ich i tysiące pozostaną jedynie w pamięci najbliższych, żyć będą tylko wiecznie w bezimiennej chwale wielkiego rezultatu — Zwycięstwa.

M. CZERKAWSKA

## SIEROTY

*Południowa godzina,  
coraz goręcej, jaśniej.  
Sad od owoców złoty,  
nad astrami motyl biały,  
dzikie wino czerwienieć zaczyna —  
Z blasku brzęczenie os  
i śmiech dziecięcy —  
a z cienia głos:  
„Sieroty“.*

*Aa — — Więc nic nie wiecie...  
Wielkie, czarne litery w gazecie:  
„Na polu chwały  
bohaterską śmiercią padł“.*

*Śmiechem dziecięcym rozbrzmiał sad — —  
Potem zmysły w próżni zawisły.*

*Może musiało być tak rołaśnie,  
by mógł się spełnić cud Wisły.*

FELICJA KRUSZEWSKA

## KWIATY I GWIAZDY

Sierpień sypał gwiazdami. Gwiazdy sierpnia 1920 roku były czerwone. W nocy widziało się je zwysoka, jak leżały wokół miasta na ziemi. Mówiono: pali się ta a ta wieś, to a to miasteczko. O tyle a tyle kilometrów bolszewicy. Mówiono, a nie sposób było uwierzyć.

Serca, pełne jeszcze tętentu wiosennego wiatru, nie chciały przyjmować gorzkiej strawy zdumienia. A przecie codziennie należało przeżyć to jedno: komunikat z frontu. Szara płachta gazety stawiała się rzeczą straszliwą. Dusila dymem i krwią. Przesłaniała czarnością oczy. I napróżno, napróżno bolał w gardle krzyk: nieprawda! I jeszcze: nie pozwalam! To *była* prawda. I właśnie należało pozwolić jej przeniknąć aż do głębi. Trzeba było mocno zacisnąć pięści i zęby, żeby nie skowyczeć. Trzeba było parę razy mocno, głęboko odetchnąć. A przede wszystkim wyjść natchmiast za wszelką cenę poza granice samotności. I to był ratunek. Należało dotknąć ręką dłoni ludzkiej, muru, gałązki, kamienia, czegoś z miasta. Wtedy siły powracały odrazu i czuło się, jak rosna. Płynęły od murów, od ziemi i przenikały z krwią do serca.

Nie było wtedy żadnych zamknięć, żadnych granic. Nie można było spoglądać przez mniej lub więcej ciasne, zdobyte trafem, nawykiem, czy pracą, okno. Wszystko otwarło się naprzestrzał. Stało się na przeciągu. Dom? Rodzina? Ja? Dom i rodzina — to już cały kraj. Aż do granic świata, który rozpoczął się poza krajem, wstęgą tych płonących sierpniowych gwiazd odcięty. Powrócić, wejść w ten świat można było tylko przez załatwienie tej zasadniczej i zrozumiałej sprawy: wolności. To było jasne.

Tylko, że czas, i przestrzeń, i to, co się nazywa „codziennie“, miały jeszcze swoje prawa. To nieraz trudno było zrozumieć. To nieraz trudno było pogodzić. Być wzniesionym do obrony mieczem — to tak. Ale nie wszyscy mogli uderzyć. Inni musieli poprostu trwać. Trwać i „robić swoje“. A tu rozpękało się coraz bardziej to, co wiązało ludzi od wieków i od wieków: siateczka codzienności. Most między wczoraj a dziś trzeszczał coraz silniej w wiązaniach. Aż wreszcie padł. Wtedy pozostawał skok. Odbywał się wedle miary serca. W dół i w górę. Bo już czekały otwarte otchłanie: rozpacz? zwątpienia? podłości? Tak, ale były także i szczyty.

Na nich to nie było tego „ja“. To było właśnie to: wyszło się poza siebie. Patrzyło się w twarz śmierci, a w głębi serca przysięgało właśnie na życie. Naród dorastał do mądrości szaleństwa, a bohaterstwem oddychało się, jak powietrzem.

Warszawa stała się otworem. Żyła pod niebem,

na ulicy, jak na dłoni. A ponieważ opadły więzy codzienności, nie było granic możliwościom. Kroki przechodzących żołnierzy były o bruk przez dzień i przez noc, a ziemia odjękiwała im do rytmu, jak serce. A kiedy się przyłożyło na chwilę głowę do poduszki, słyszało się dalej przez sen kroki tych, którzy już nie wrócą. W ścianach domów pulsowała żywa krew, a powiew wichru poodwracał karty lat. I niktby się nie zdziwił na wieść, że na rynku rozległ się mocny krzyk Mochnackiego: do broni! — że Naczelnik w sukmanie przejechał przed frontem wojsk, że w małym kościółku na Woli objął komendę generał o nodze drewnianej. Mój Boże! był przecie ktoś, który przejął serca ich wszystkich we własną pierś. I stanął, obciążony ciężarem ojczyzny, w pewnych chwilach najzupełniej sam. Ale nie dziwiono się i temu komuś.

Niczemu dziwić się nie było można i temu też, że serce, ofiarowywane po stokroć razy w całości, rozrastało się, rozrastało się tak, że, jak chlebem, chciał się dzielić z niem ze wszystkimi. Krzątasz się w gorącej robocie, niesiesz dymiącą miskę naprzeciw wyciągniętym dłoniom, dotkniesz oczami wykrzywionych butów, lichego płaszcza, chłopięcej wynędzniałej twarzy i rozpalonych oczu żołnierskich — i musisz dławić w ustach krzyk: bracie!

Czekasz na przystanku tramwajowym i tupiesz z niecierpliwości, żeby dalej, do zajęcia. A obok kobiecina wynędzniała, skulona. Tłumok ciężki położyła na ziemi, rękami spranymi wytrząsa, o coś z sąsiadką się kłócąc:

— Aż wstyd tak mówić, moja pani! Dwóch chłopców na front posłałam, sama jestem, jak palec, a gdybym ich miała dziesięciu, to wszystkich — co do jednego — dla Ojczyzny!

(Ojczyzna? Wilgotny kąk w suterenie, stółek, na nim balja, oczy załzawione od pary, obrzękłe nogi i grzbiet bolący? O matko!)

Biegniesz późnym wieczorem, w głowie się kręci od czadu zmęczenia. Zdaje się, że gwiazdy drgają na niebie i toczą się dołem, skaczące i jaskrawe. Od latarni do latarni — prostytutka. Podszedł do niej któryś, a ona: precz! do okopów! I znowu: precz! do okopów! I jeszcze: Ojczyzny idź bronić!

(Ojczyzna? Kawalek ulicy od rogu do rogu, głód i chłód, łóżko w szpitalu? O sestro!)

To było tak. Ciągłe tak. Oddychasz wiatrem i ogniem. Prawie nie możesz dać rady temu, co w tobie rośnie. I raz po raz pręży się ta, z dzieciennych lat, dziecięcimi słowami „katechizmu“ sformułowana, gotowość: oddać życie. A wypchnięte ze swojej kolei, tyłu łzami zmoczone, tyłu nożami przeszyte, nie było

wtedy łachmanem. Nigdy może bardziej, niż wówczas, pod gorącym niebem sierpniowym, nie czuło się jego urody.

Bo i kwiatami sypał ten sierpień, i kwiatami. W zamęcie, w gorączce, w zawierusze jawiły się tu i tam, rozkwitały, jak gdyby nigdy nie, w koszach na rogach ulic. Aż dziw, że zakwitać tak jeszcze mogły, płonącym oczom na uciechę, że ich wszystkich nie pochłoneła, nie cisnęła mocną dłonią aż pod niebo, jak jeden bukiet, ta jedyna, najśliczniejsza, najszaleńsza przedsierpniowa wiosna. (Bo pachnie jeszcze dotychczas w pamięci czas, kiedy polskie stokrotki nie chciały dać się wyprzedzić ukraińskim fiołkom; jabłonie, zarażone pędem, wystrzelały radością razem z tarniną, a dnia 3-go maja pod stopy młodzusińskich żołnierzy ciskało się już ostatnie liljowe krzyżki bzów).

Dotknęła w przelocie gorącej dłoni wilgotna gałązka lewkonji i oto przeżywało się w jednej chwili niespodzianie, ostro i aż do dna samo już sobie tylko dojrzewające lato. Albo: przeciągały późną nocą ulicą tabory. Czekano się na chodniku przed jezdnią, aż przejadą z głuchym turkotem wóz za wozem, wóz za wozem. I nagle — mój Boże! mój Boże! Rozpływał się chodnik pod stopami aksamitną łąką. I nie było

miasta — i nie było wojny — i nie było męki. Zapachniało z wozów cichem południem i upałem, szczęściem i radością polskie siano. Opadały na oczy ciężkie powieki i wzbierała w skurczonym sercu niepotrzebna tęsknota. Ale zaraz potem zaciskały się usta i już słuchało się tylko, jak surowo i głucho dudnił wóz za wozem, wóz za wozem, przejeżdżając długim szeregim. Otwierały się piekące oczy i patrzyły, jak zimno i stalowo polśniewają w świetle latarni hełmy żołnierzy. A potem podnosiło się oczy wyżej, na gwiazdy. Bo choć kwiaty i siano pachniały Polską, w sierpniu 1920 roku nie było czasu na kwiaty. Patrzyło się na gwiazdy. Świeciły coraz jaśniej koło połowy tego miesiąca.

Dzień 15-go sierpnia?

Nie można było go zapamiętać.

Tylko to: słońce w oslepiłych oczach. Tylko to: brak tchu.

Serce runęło pod ciężarem radości. Doznało klęski szczęścia. Przez lata wysiłku i walki, porywając się, padając, błądząc, w pocie, trudzie, w dniu powszednim musi wypracować sobie Zwycięstwo.

REGINA ZIENKIEWICZOWA

## N A A P E L

Władek Rajkowski, student, śliczny chłopak, ongi dzielny harcerz, potem ognisty ochotnik-szwolęz 201 pułku, zamknął na wieki oczy w nocy z 19-go na 20-ty sierpnia 1920 roku.

Umarł, tak, jak leżał przez pół roku, na sali żołnierskiej, w otoczeniu prostych dusz i prostych, ale nie prostaczych, umysłów.

Już z wieczora otoczyła go jakaś fala tęsknoty i obawa mroku, że długo zagabywał zmęczoną siostrę Annę, by nie odchodziła jeszcze, a skarżył się siostrze Magdusi na nią samą, że lata i lata do pana porucznika, a o niego nie dba, biednego szwoleżera! Siostra Magdusia tłumaczyła się prawie ze łzami, że dla niej szarże nie istnieją, ale porucznik jest taki nieszczęśliwy, a żąda, by ustawicznie ktoś przy nim siedział. Władek nic na to nie odrzekł, tylko westchnął cicho.

Przeprosił swoich sąsiadów, że im spać nie daje, ale choćby nie chciał, jęczeć musi cichuteńko.

Odrzekł mu z duszy — serca — że niech o nic nie dba, bo to już taka wszystkich żołnierska dola.

Więc im powiedział spokojnie: — Módlcie się za mnie, koledzy!

Zaraz też kapral, Tadeusz Batory, ręką, latającą ze wzruszenia, sięgnął po książkę i jął czytać litanję za konających, a szeregowy Antoni Uczciwek zapła-

kał łzami rzewnymi, jak dziecko bezradne i chore. I tak modlili się do utraty tchu, błagając naprzemian:

„O, Pani można! raczże skruszyć łeb smoka piekielnego, który, jako lew ryczący, krąży około tej duszy, z ciała wychodzącej, aby ją pożarł. Wybaw ją, Panie, jakoś błogosławioną Teklę, Pannę i Męczenniczkę ze trzech katuszy srogich wybawił.. Pomnij na nią w chwale jasności Twojej! Niech się dla tej duszy Niebiosą otworzą, niech ją święci Aniołowie przywitają i zaprowadzą do Nieba. Niech ją przyjmie Piotr święty, któremu Bóg klucze od Królestwa Bożego powierzył...“

Wydało się Władkowi, że jest w domu rodzinnym, bardzo słaby i znużony, a zupełnie malutki. Siedzi przy jego łóżeczku ojciec-lekarz, w ciemnych okularach. Przyszedł też brat starszy, student politechniki, w ślubnym stroju z białym goździkiem w butonierce. A oto i Ela, siostra najmłodsza, a przecie dużo od Władulka starsza, w białej, długiej, jedwabnej sukni. Wszyscy są tacy dobrzy. Mówią mu:

— Chodź, maleńki. Chodź z nami! Pójdziemy daleko, gdzie nigdy nie będziesz już chory!

Władek wie przecie doskonale, że Ojciec już odszedł nazawsze i tamci oboje nie żyją, ale nie boi się ich wcale i dobrze mu z nimi. Dobrze, że przy-

szedł ojciec po swego syna i tamci oboje po swego chrześniaka. I nie porzucą go samego w obcej mogiłce. Przygarną do siebie, utulą.

Uśmiechnął się do naiwnej, pełnej najistotniejszej poezji, modlitwy Batorego. W tej ostatniej chwili ludzki głos, jako jedyne, wątle ogniwo, łączące go z życiem, był mu niezmiernie miły. Nie widział prawie siostry Magdusi, która, stojąc przy nim, patrzyła, jak życie ucieka; myślał, że to mała mateczka, Ela, dobrą dłonią ręki jego dotyka. Uśmiechnął się do niej. Zatoczył oczyma, by zobaczyć ojca i brata. Oni, tacy uroczyści w czarnych swych strojach, patrzają nań serdecznie i mówią:

— Chodź z nami!

Wieje wiatr od Tatr wyniosłych, na skrzydłach orłowych lecący. Szumi Soła, skacząc po piargach, tocząc kamyczki i porywając brzeg. Furkoczą szwoleżerskie proporczyki...

„...bywaj dziewczę zdrowe, Ojczyzna mnie woła!  
Idę za Kraj walczyc...”

Zalśniły groty lanc. Ktoś woła, jakiś prosty, kobiecy głos:

— Jezusie najśłodszy! Dzieciatkowi takiemu lancę?! A toć nie poradzi, toć się podźwiga na nie!...

I głos mateczyny, rozpaczny:

— Władek! Władek! Władek!...

Jeszcze raz zatoczył oczyma. Westchnął i ucichł...  
„Zamknijcie mi oczy, abym już nie widziała próżności światowej, okryjcie mnie całunem, bo już nie potrzebuję nic więcej, oddajcie mnie ziemi, bo z ziemi wzięłam ciało i tam ono powrócić powinno. Ziemia wydała mnie na śmierć”.

...Ziemia polna... Ojczyzna... Polska...

„Ziemia wydała mnie na śmierć, ona to znowu zrodzi mnie do nowego życia. Niech więc śmierć mnie nie trwoży: to nazwa jest tylko, bo nie ma śmierci, prócz śmierci grzechu...”

Spał już Władek snem nieprzespanym, w radości bezcierpienia, wśród woni rajszych ogrodów, owiany cichym powiewem anielskich skrzydeł. A Batory zapamiętał się cały.

„Świat ten, pełen przewrotności, jest miejscem wygnania, niebo jest naszą Ojczyzną, tam jest ziemia obiecana. Śmierć jest chwilą trudu, ale zarazem przejściem do Królestwa Bożego. Zamknij oczy na świat cały, który dla ciebie jest niczem. Wszystkie prace ustały, już się wszystkie smutki i narzekania skończyły, wszystkie boleści i wszystkie lzy tej ziemi daleko już i nazawsze od ciebie odbiegły”.

— Kaprol, a dyć kaprol... — szlochał Uczciwek. — Jużbyśta ścichli! Nie zipie już ten nasz nieboraczek. Kaprol... panie kaprol...

„...gdy serce moje zastygnie już i zamilknie, gdy ludzie zapomną o mnie na ziemi, a dusza moja tęsknić będzie, ażeby wtedy jeszcze głos jej przez usta braci żyjących do tronu Twego dolatywał... spraw...”

Siostra Magdusia wyjęła ze sztywnych rąk Batorego modlitewnik. Otuliła kaprała koldrą.

— Dosyć już, dosyć. Zachryplście całkiem!

Lecz on, zatopiony w modlitwie, szeptał:

„Wybaw ją, Panie, jakoś trzech młodzieńców z pieca rozpalonego i z ręki okrutnego króla wybawił...”

— Amen.

— Amen! — chrypliwym szeptem zapiał Uczciwek.

Zasnęli.

Władek spał snem wiecznym, a oni dogasali, dogorywali, jak płomień żołnierskiego ogniska o rozświecie.

Gdy się obudzili, nie było już Władka. Leżeli obok siebie, patrząc w sad, rozbłysły całem bogactwem sierpniowego poranka. I czekali...

— Kaprol, panie kaprol — zaniósł się kaszlem Uczciwek. — Akademika już, musi, niema?

— A niema!

— W kostnicy, na cmentarzysku?

— W truchle smrekowej, prostej, kapiącej smołą. Na żołnierskim łożu!

— A panicz był ci to galanty!

— Sōłdat, jako i my z tobą.

— Kaprol, panie kaprol... I my, musi, za nim?

— Musi tak!

Zapłakał czegoś Uczciwek. Jutro oto siostra przybyć miała wedle tych dwu płachetek ziemi, co jej obiecał odpisać. Siostra. Książanka, jak kwiat! Wybaluszali na nią ślepią, jeden z drugim, cudując się ognistym wełniakom siostruli. Przyjadzie, śliwek kupi. Niech ta! Gront musowo odpisze kobiecie. Niech ta! żołnierz na roli nie usiedzi! Przy wojsku zostanie frajtre, plentonowym, a to i całkiem — sierżantem! Odpisze gront, odpisze! Niech ino przyjdzie, jaśniej cłekowi na duszy od złota księżackiego stroju...

Siostrula! Nie taka święta, jak siostra Anna. Nie taka sposobna, jak siostra Magdusia. Ale własna. Uczciwkowa siostrzyczka, Marychna! Hej, cudowali się jej ludzie. Sialeli chłopcy, a ona nic. A ni z tego, ni z owego poszła za obstarniego, miastowego rzemieślnika. Kwiatuszek! A tęschni to w mieście do ziemi. Ech, Maryśka, Maryśka! żołnierzowi dość gruntu pod truchelkę, a płachetki pół twoje, twoje! A jeśli będą dzieci... Antosiek, wołaj na jednego, baczysz?...

Roześmiał się, aż mu zabalgotało w gardzieli. Zląkł się nagle czegoś, jakby ten piaseczek złocisty z mogiły pod krzyżem zasypywać go począł. Coś zaczerwieniło się na zgrzebnej koszuli. Silna, a dobra dłoń poczęła ocierać mu pot z czoła.

— Siostrzyczko, siostrzyczko... Idem zameldować się Panu Jezuskowi. Bom polski żołnierz...

— Antosiek wołaj na niego, sły-szysz...

Opadła głowa na sztywną poduszkę szpitalną. Zameldował się Panu Jezuskowi żołnierz boży.

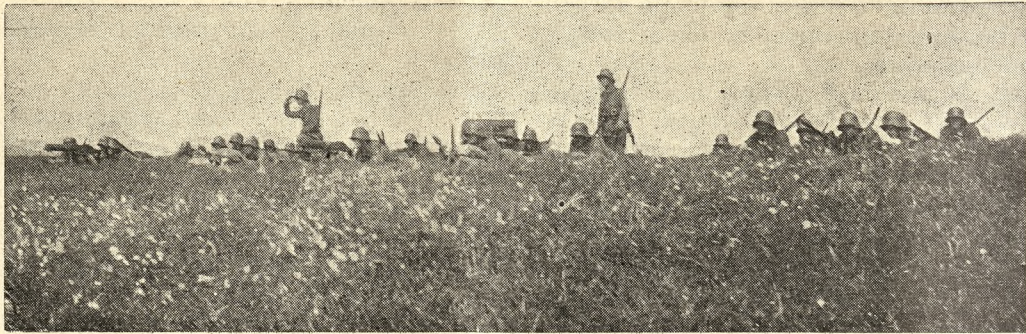
— Szeregowiec Uczciwek Antoni! —

Batory ostał sam. Nie zdziwił się nawet. Szwoleżer pierwszy poleciał. Ha, taki już los kawalerji!

A potem szary piechur poczłapał się na tamtą stronę. Dojdzie, nie dojdzie? Dojdzie może! Miał się meldować, to się i zamelduje. *Rozkaz to rozkaz!*

Gdzieś trzasło niezgorzej. Aha! Burza. Błysło! Ech, to ci szrapnel po nocy szuka cieplej krwi człowieczej, Batorowej może...

Leciutko go coś ukłuło. I potem spokój. Dobry sen, jakby już jedną nogą stał tam poza wrotniami do nieba. Jeszcze zobaczył ranek. Jeszcze policzył dzwony południa... A gdy zmrok zsuwać się począł z smrekowych wierzchołków na ziemię, wpil władcze, kaprałskie spojrzenie w nadchodzącą noc i nieustraszony — szarża przecie! — z otwartymi oczyma poszedł na apel.



Na pozycji.

MARJA DOBROWOLSKA

## STRZĘPY SIERPNIOWYCH DNI

W połyskliwych promieniach sierpniowego słońca — jaskrawe napisy czerwone i białe, rzucane w nocy niewidzialną ręką. Wpoprzek chodników, na murach i parkanach płomienne memento: idź na front!

Na rogach ulic zaciężne biura ochotnicze, w których spokojny cywil przekształca się nagle w pełnego tężyzny wojaka. Na placach i skrzyżowaniach ulic długie stoły, zavalone papierosami, jadłem i napojami. Wkoło nich tłumy pań, zmęczonych, rozgarączkowanych. Trzebaby mieć setki rąk i tysiące darów, żeby obdzielić tych, co idą wciąż miarowym krokiem ku wiślanym mostom.

Spragnione usta chłoną podany napój, znużona ręka zapala papierosa, lub świeżą chustką ociera pot z czoła.

Ponad ulicznym zgiełkiem od czasu do czasu przeleci odgłos dalekich strzałów armatnich.

\*

Nie słucha ich nikt. Ciągną szeregi baterij i dudnią jaszczce z ciężkimi nabojami. Mkną szeregi aut, wczoraj prywatnych, dziś zmobilizowanych, pomalowanych na kolor ochronny. Gdzieniedzie błyska czerwony krzyż na białym polu i rozchyła się płócienna zasłona. Za nią cicho jęczy ranny.

\*

Jadą ułani... Na czele „pan oficer“ na dorodnym koniu poważnie patrzy w dal. Od czasu do czasu z uśmiechem salutuje i, pochylając się w siodle, zbiera róże, podane z krawędzi chodnika. Kupione tuż

w kwaciarni. Ogląda się. Chłopcy, stęzali w strzemionach, wtykają kwiaty za czapki, za rzemienie. Kwiaty, podane niewieściami rękami...

\*

W noc ciemne ulice. Okna od Wisły osłonięte. Zamaskowane światło na mostach. Cicho. Dudnią wyraźniej po bruku idące oddziały. Kołują ulicami działa i konne szwadrony. Okrężną drogą idą. Nie może wiedzieć nikt, dokąd kieruje je rozkaz. O świetle huczą działa coraz bliżej, a równomiernie z różnych stron grzmiają baterje.

Dlaczego nie prowadzą jeńców?

\*

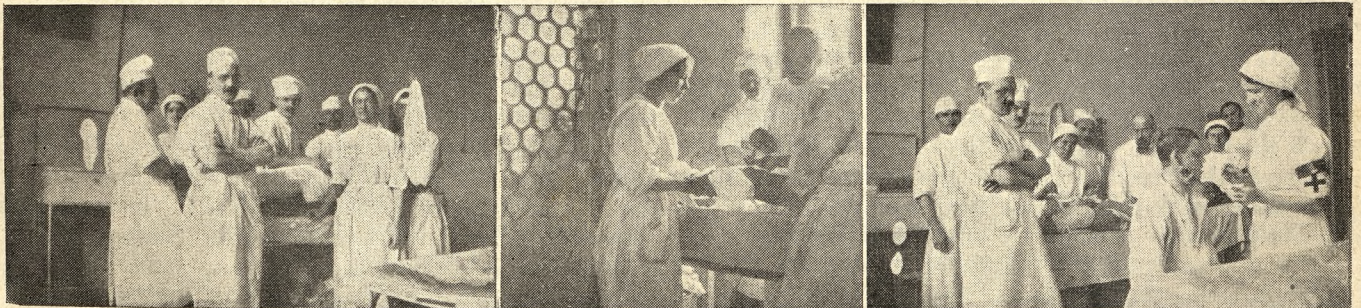
Rano. Szeregi konnych tramwaj wiozą lżej rannych. Zatrzymują się w pobliżu wrót szpitalnych. Nie ma jeszcze sanitariuszy i ochotników z noszami. Więc kobieciny w chustkach podają rannym mleko, niesione do domu, chleb i wędliny. Mówią czułymi słowami. Ujmują mocno, najmocniej pod ramiona i ostrożnie prowadzą do czystych korytarzy szpitalnych.

Niespokojnymi oczami patrzą: może tam jedzie swój?

\*

Korytarze szpitalne długie i czyste. Rzędami po obu stronach stoją nosze. Leżą młodzi w nowiutkich mundurach, jasne rzemienie, mocne buty...

Białe fartuchy przemykają się sprawnie, prędko i cicho. Porusza się batyst chusteczek na głowie.



Na sali opatrunkowej.

— Siostrzyczko, pić!

Jedną ręką wsuniętą pod głowę, druga ostrożnie nachyla kubek z zimną wodą. Spokojnie, łagodnie patrzy oczyma z bladej, zmęczonej twarzy. Zbierają spojrzenie z twarzy ogorzalej, pokrytej brudem, cierpieniem i krwią.

— Siostrzyczko, a co nasi?

— O, dobrze, drogi panie, dobrze. Przecież nie byłoby was tu tak wielu.

Donośny huk ciężkiej baterji coraz bliższy.

\*

Szpitalnym korytarzem idzie „kancelarja“. Krótkie pytania i szybkie notatki na karcie szpitalnej.

— Kiedy ranny?

— Wczoraj rano.

— Od kiedy w polu?

— Od trzech dni.

— Ile lat?

— Osiemnaście.

18, 19, 20 i tak dalej i dalej. W polu od kilku dni, ochotnik, szeregowy, ranny nieodmiennie z przodu. I tak przed chwilą nieomal.

\*

Rzedną nosze, płoną osłonięte światła. Smugami cienia po salach i korytarzach idzie wysmukła postać w stule i białej komży. Pochyla się na każdy zew.

— Ojczy, wysłuchaj.

Cichy poszept i szybkie słowa modlitwy.

— Ojczy, jak nasi?

— Śpij w spokoju, synu.

Tyle krwi wsiąkło w ziemię...

\*

Jaskrawe światło reflektorów na sali operacyjnej. I świt, wpadający oknami. Na stołach ranni zoperowani śpią, inni czekają swojej kolei. Białe fartuchy i blade, zmęczone twarze, w których nerw każdy gra ostatnim wysiłkiem. Słabnące siły krzepią kieliszkiem mocnego konjaku, papierosem, chwileczką przerwy.

I znowu szorowanie rąk, bistur, pincetki, kochery, peany... Już trzecią dobę bez przerwy.

A coraz częściej drgają mury od coraz bliższego huku dział.

\*

— Słuchaj, odchodzi dziś ostatni pociąg dla rodzin wojskowych. Nie wiadomo: na Kraków, czy Poznań. Czy chcesz jechać z dzieckiem?

— Nie. Zostanę. Cokolwiek się stanie. Ale nie stanie się. Nie czuję „ich“.

A w tajemnicy ćwiczenie karabinem, zapoznawanie się z rewolwerem, wsluchiwanie się w odgłos dział i oczekiwanie jeńców.

\*

Dzień Matki Boskiej Zielnej. Już tylko szemrzą kościelne dzwony. W świątyniach tłumy kobiet. Ponad kadzidła wznosi się coraz bliższy huk dział.

„Święty Boże, święty mocny...“

Nie pachną kwiaty Matki Boskiej Zielnej. O bukiecikach nie pamiętał nikt. Święcą się na błoniach, z krwawych kwiatów związane w jeden olbrzymi, żniwny płon.

\*

Dudni bezustannie huk dział. Całe popołudnie, wieczór i noc.

Przywieźli Helenkę, narzeczoną sierżanta. Włożyła męski mundur. Poszła, ścigana niedowierzającymi spojrzeniami i wzruszeniem ramion. I oto padła ciężko pod Ossowem z karabinem w rękę.

Ranni bez przerwy. W autach, w pociągach, w chłopskich podwodach, w tramwajach, na statkach, pomalowanych na kolor „ochronny“. Wszystko skupiło się wokoło nich. Wszystko zaszuchało się w huk dział.

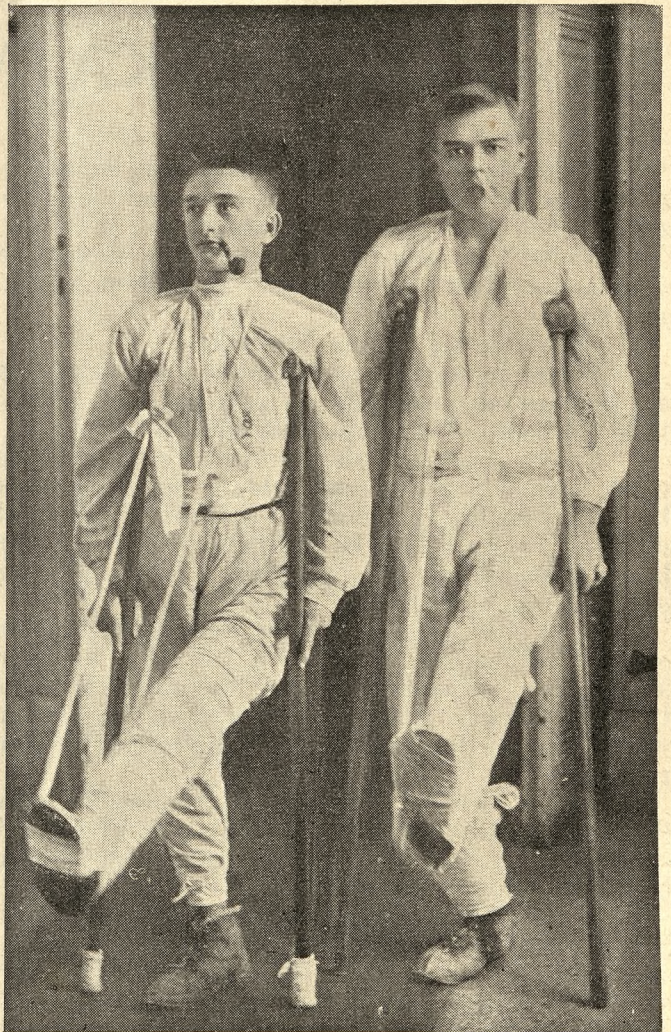
I w tętno własnego serca, ogromne, zrośnięte z tyłu serce w jedną wiarę i jedną wolę.

\*

Cicho. Dlaczego nie grzmia działa? Co to za tłum wali mostami? Czy i to ludzie?

Stłoczeni w zbite gromady, brudne, obdarte, głodne. Idą gromadą ponurą. Dzika szarańcza naleciała ze wschodu. Idą coraz częściej, coraz liczniejszym tłumem. Setki, tysiące. Jeńcy.

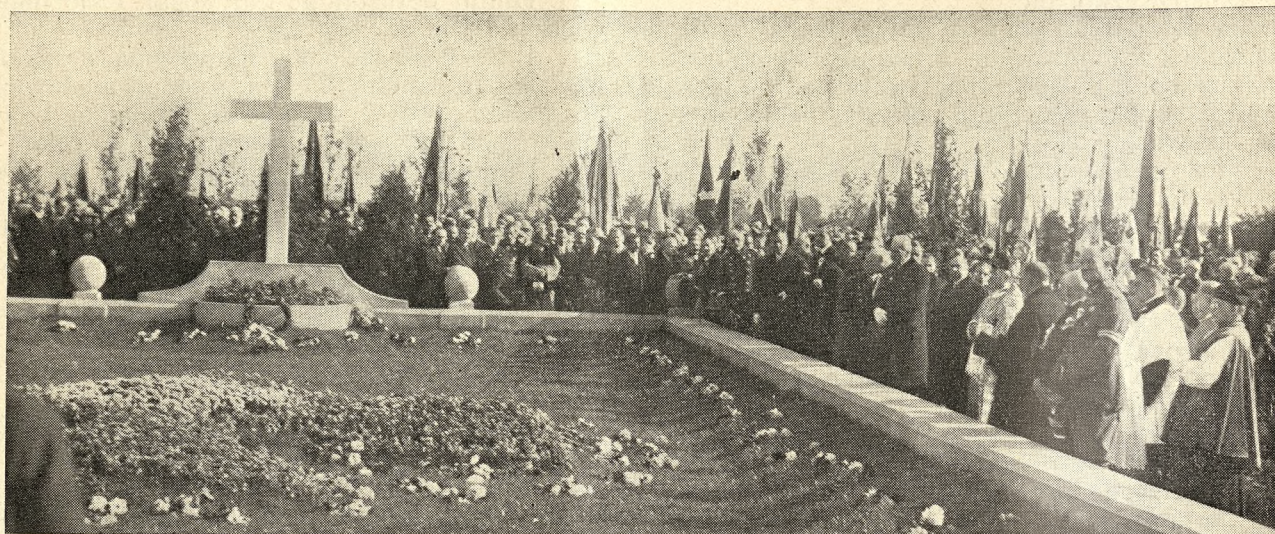
Ujęci w ogromne kolumny, strzeżone przez kilku młodych żołnierzy o jasnym, radości pełnym spojrzeniu. Patrzają tępo na smugę szerokiej rzeki, na Wisłę, która legła na progu ich zwycięstwa mocnym: nie pozwalam!



Tacy zwyciężają.

Góral i kujawiak, obydwoj ranni w nogę, nie tracą animuszu.

— Czy możemy już iść na front?



Poświęcenie cmentarza poległych pod Radzyminem.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA

## WARSZAWIANKA A GROBY POLEGŁYCH

Widzą Ją jeszcze — tę śliczną, rosłą dziewczynę z owiniętymi wokół głowy warkoczami, jak mówi z przejęciem o swej pracy szpitalnej.

Widzę Ją w kilka tygodni później ...w trumnie — z plamami tyfusu na twarzy i z ogoloną, piękną główką...

Nazywała się Janina Nowacka.

Widzę Ją jeszcze, tę delikatną i wykwiwną panią (zawsze tak pięknych używała perfum), wylewającą wapnem — ubikacje stacyjne...

Przetwarzałyśmy się z rozpieszczonych, salonowych dam, w altruistycznie oddane Krajowi patriotki — wspomagające finansowo schroniska dla uciekinierów<sup>1)</sup>, fundujące łóżka szpitalne (80.000!) i wysyłające dziesiątkami tysięcy paczki z bielizną, żywnością i odzieżą na front<sup>2)</sup>.

W te ciężkie, beznadziejne dni zapominałyśmy o sobie... Robotnice, krawcowe, artystki, uczennice, akademiczki, panienki z t. zw. „towarzystwa“, kobiety stare i kobiety, mające synów i mężów na froncie — wszystkie w te dni podałyśmy sobie ręce do wspólnej pracy...

Widzę jeszcze ciemne, rozradowane oczęta dziewczęce, odnajdujące matce syna (wśród długich szeregów list rannych<sup>3)</sup>), i słyszę jeszcze głos ten, narzmiął radością, mówiący:

— Jest! Władysław Karda! Znalazłam go: — Szpital na Grochowskiej Nr. 77. Dobrze się czuje — niech się pani nie martwi... Może go pani odwiedzić!... Adres piszę na karteczce... Niech pani wsiądzie w „osiemnastkę“...

Widzę jeszcze tę jasnowłosą, szesnastoletnią dziewczeczkę, niosącą karabin na ramieniu „w sekrecie przed mamusią“<sup>4)</sup> i ten zmęczony jej uśmiech widzę na poblądłej, anemicznej twarzy.

I słyszę jeszcze piosenkę żołnierską, śpiewaną w zadymionej kantynie żołnierskiej... Czy wiecie, co to za poświęcenie jest śpiewać w takich warunkach — mając piękny sopran koloraturowy sławnej artystki? Jakie to było piękne, to wszystko... Pamiętacie?

\*

Teraz pozostały tylko dalekie echa wspomnień i... groby bohaterów, na których kwiaty zakwitają już po raz dziesiąty... Zwyciężyliśmy i radujemy się tem w tę dziesiątą rocznicę. Nie zapominajmy jednak o tych, co padli, o tych, co „śnią swój nieprzespany sen o cudownie ocalonej Ojczyźnie“.

Nie zapominajmy!... Do was się zwracam — do was, które dziesięć lat temu siłą uczucia przetwarzałyście się w „anioły“:

— Nie dajcie umrzeć grobom!...

W miejscu najzaciętszych bitew, które zdecydowały o przełamaniu linii bolszewickich, leży 500 bezimienców, 500 nieznanych żołnierzy...

Usypano nad nimi cztery bratnie mogiły. Kwitną kwiaty i stoi kaplica<sup>5)</sup>.

W jesiennie święto Zmarłych zapalono świece. Młodzież pamiętała... Sokoli, skauci i strzelcy symboliczny płomień przenieśli sztafetami w płonących

1) Polskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny.

2) Polski Biały Krzyż.

3) „Biuro Informacji“ przy Polskim Czerwonym Krzyżu.

4) „Oddziały Ochotnicze Kobiectw“ w Mokotowie.

5) „Towarzystwo Opieki nad grobami Poległych Bohaterów“.



pochodniach do Stolicy, by niemi zapalić znicze na „Mogile Nieznanego Żołnierza“.

Jakaś łączność duchowa zabłysła w tych ogniach ofiarnych między stolicą, a tymi, co za nią zginęli...

Młodzież pamięta... Ale to mało: musi pamiętać całe społeczeństwo, a przede wszystkim my, kobiety, któreśmy tyle współczucia okazywały żywym — musimy pamiętać o umarłych.

Na cmentarzu wojskowym na Powązkach mamy 7000 mogił z roku 1920, 630 — tylko z miesiąca sierpnia (Radzymin i Ossów).

Na cmentarzu cywilnym znajduje się grób Księdza Ignacego Skorupki — tego, który z krzyżem w ręku i pieśnią na ustach prowadził młodzież do ataku i padł pod Ossowem.

I jeszcze jeden grób — grób skauta Płoszko.

Czy my wiemy dużo o tych grobach?

Nie... Nie umiemy naszym Orłom — tak, jak Lwów — stworzyć „cmentarza kultu“ i „cmentarza chwały“.

Pamiętajmy o nich, o naszych orlątkach, my, kobiety przede wszystkim... O tych, o których powiedziano:

„Coś się paliło w sercu,

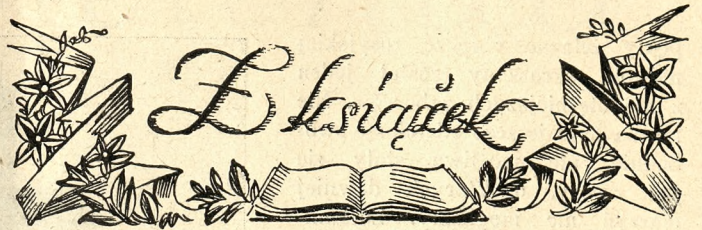
Coś się marzyło w głowie...

My tylko piaskiem zasypiem —

Może... legenda opowie?“



Kaplica pod Radzyminem.



Artur Schröder: „Les Lionceaux“. Przekład Helleny Broel-Plater. Przedmowa Pawła Cazin. Ilustracje Michała Byliny. Wyd. Gebethnera i Wolffa w Paryżu.

Jednym z wyjątkowo szczęśliwych pomysłów propagandowych było wydanie po francusku „Orląt lwowskich“ Artura Schrödera. Pełne wzruszającej prostoty opowieści o bohater-skich czynach polskich dzieci podczas obrony Lwowa przemówią napewno żywo do wyobraźni francuskiego czytelnika.

Kogoż nie wzruszy historia najmłodszego „współpracownika“ Pobudki, który, z narażeniem życia kolportując to pismo po rusińskiej stronie Lwowa, ranny w nogę, nie mógł się wstrzymać, żeby nie pokazać języka goniącym go rusinom. Albo tych dwóch młodocianych mandolinistów, którzy śpiewem „Ne hody Hryciu na wieczornicy“, uśmierzali strzelaninę z nieprzyjacielskich pozycji. Albo dziesięcioletnich pędraków z armji „kartoflanej“!

Pogodne, rozśpiewane, skrzydlate orlęta! Z całej Polski przyniosłyście ochotnie daninę swojej krwi, która kamienie Lwowa przypieczętowała na wieki bohaterstwem dziecka polskiego.

Piękna książeczka Schrödera, poprzedzona przedmową przyjaciela polaków Pawła Cazin, zwięźle i wyraziście podmalowująca tło historyczne walk lwowskich, otwiera przed światem cywilizowanym uczuciową głębię tego bohaterstwa. Kiedyż doczekamy się podobnego wydawnictwa, któreby zapoznało świat Zachodu z historją walk sierpniowych? S. P. O.

## Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Powiedział w 30-ym roku W. Ks. Konstanty, że „Listopad, to niebezpieczny miesiąc dla Polaków“. W czasie długiej naszej niewoli były jednak i inne miesiące niebezpieczne i w zdarzenia brzemienne; należy do nich i sierpień. Różne w nim zdarzały się chwile. 5 sierpnia 1865 roku stracono na szubienicy Traugutta, Jeziorańskiego, Krajewskiego, Toczyńskiego i Żulińskiego, członków Rządu Narodowego, bohaterów niezłomnych, którzy wytrwali do ostatka, contra spem spero. 1 sierpnia 1914 roku wybuchła wojna światowa, która już w pierwszych swych gromach niesła Polsce nadzieję wyzwolenia, a w pięć dni potem, 6 sierpnia nastąpił wymarsz z Krakowa pierwszej kompanji Kadrowej Legjonów Polskich, pod wodzą Komendanta Piłsudskiego. I poraż pierwszy od lat wielu nie spełniły się żałobne prorocтва. „Garstka szaleńców“, której z różnemi uczuciami, od, niestety, niechęci, do trwogi serdecznej, przepowiedano zgubę, przełamała zły los i stała się zawiązkiem świetnej dziś i potężnej armji polskiej.

Uplłynął rok, i oto znów 5 sierpnia staje się fakt pierwszorzędnego wagi: wyjście wojsk rosyjskich, zajęcie Warszawy przez niemców.

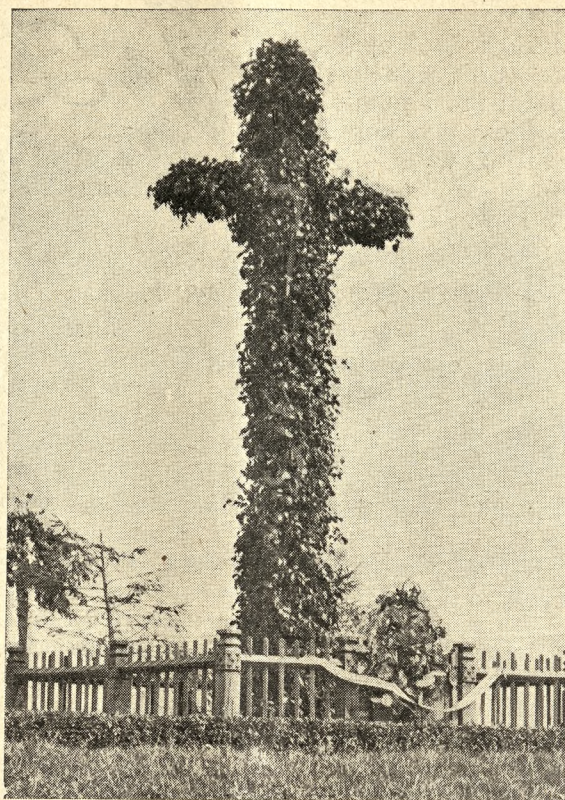
Dokonała się zamiana wrogów, to prawda, cała już niemal Polska weszła w stan uciążliwej, niemieckiej okupacji, w okres biedy i głodu i nowego ucisku, bezsprzecznie; ale jednocześnie

pękły żelazne obręcze rosyjskiej niewoli, skruszony został jeden z najpotężniejszych zaborców. Nie można było jeszcze odetchnąć swobodnie, ale możliwe stały się już rzeczy, o których dawniej marzyć nie mogliśmy. Zorganizowano szkolnictwo polskie, otwarto został uniwersytet w Warszawie, powstały stowarzyszenia, stronnictwa polityczne, którym Niemcy, w pierwszym zwłaszcza roku okupacji, nie stawiali zbyt wielu przeszkód; odbył się 3 maja 1916-go roku wspaniały obchód 125 letniej rocznicy Konstytucji, a 5 sierpnia (znów!) odsłonięcie, na stokach Cytadeli, pamiątkowego krzyża, wzniesionego ku czci Traugutta, i jego towarzyszy.

Po paru latach waga dat dziejowych przesunęła się na listopad i w tym miesiącu zdawało się, zakończony zostanie okres trwóg i walk polskich. Byliśmy wolni, a choć wojna trwała jeszcze na granicach, choć drżeliśmy o Lwów, zapal i męstwo naszych wojsk pozwalały mieć szczęśliwą otuchę, a każdy dzień wypełniał trud tworzenia własnego, niepodległego bytu.

A jednak okazało się, że to nie koniec, że „ten własny i niepodległy“ trzeba będzie okupić jeszcze jednym olbrzymim wysiłkiem całego narodu.

I znów sierpień 1920 roku zawitał miesiącem trwogi



*Krzyż pamięci Romualda Traugutta, wzniesiony 5 sierpnia 1916 r. na stokach Cytadeli.*

i grozy, ale jednocześnie epoką, w której Polska stała się jednym, do ostatnich granic napiętym, łukiem bohaterstwa, z którego ciężki wy padł ostateczny cios, zadany wrogowi.

Walkę tę okupiliśmy wielkimi ofiarami krwi i mienia, ale nie była ona dla nas bezowocna; więcej, powiedzieć można, że była konieczna. Nie powie nam już historia, że otrzymaliśmy Ojczyznę z łaski koniunktur politycznych, że nie walczyliśmy o nią wszyscy, jak jeden człowiek. W tym sierpniu, którego dziesięciolecie dziś święcimy, przekonaliśmy się i okrzepiliśmy w tej wierze, że umiemy się bronić. W najtrudniejszych, jakie można sobie wyobrazić, warunkach, w organizującym się zaledwie państwie, opuszczeni przez większość sprzymierzeńców, szachowani i szachrowani dyplomacją zagraniczną, wykreślającą nam granicę po Bug, atakowani na olbrzymim, rozciągniętym na tysiące kilometrów froncie, stanęliśmy, jak tyle już razy, do walki z przeważającą liczbą wrogów, stanęliśmy, nie tylko na granicy Polski, ale na moralnej granicy Europy, wobec dzicych Wschodu i granicę tę utrzymaliśmy.

Sierpień 1920 roku to wielka dziejowa próba nie tylko bohaterstwa narodu, ale mądrości i mocarstwowej siły twórczej wielkiego państwa.



*Wyjście Rosjan ze stolicy 5 sierpnia 1915 r.*

# Nasza Mównica

M. CZERKAWSKA

## NIE ŁATWO...

Nie łatwo dziś wspominać, jak to wtedy było,  
nam, co w każdym człowieku widzieć chcemy brata;  
lecz czas może zarosłym powiedzieć mogiłom,  
że miłości znów pragnie wielkie serce świata.

Wzrok się mgli. Pamięć samej sobie nie chce wierzyć...  
Odwrot, klęska i zamęt, grom czerwonych kopyt  
rozbija wsie, miasteczka. Grzmot z grzmotem się  
coraz bliższy pożarów purpurowy łopot. mierz,

Armje idą na armje, jak chmury na chmury,  
Strugami krwi pomiała bezmyślna ulewa.  
Człowiek jest żdźbłem, zdeptanem buciorem wichury,  
obierzyną, do śmierci wyrzuconą zlerow.

Zda się niema ratunku, cały świat się spali...  
od podwalin, od tramów zgorzeje do szczytu.  
Nagle rzeka, idea, staje ognia zalero  
przed rzeczą nieuchwytną, jak zjawa błękitu.

I nie pójdzie już dalej i cofnąć się musi.  
Potęga się złamała, rozdarła i prysła.  
Nie łatwo jest wspominać, gdy braterstwo kusi,  
i szumi życiotwórczą pieśń miłości Wisła.

### „ZWYCIEZTWO DUCHA“.

Dziesięć lat temu wprost nadludzkiem wysiłkiem psychicznym, ofiarą krwi, oraz solidarnością naród Polski zdecydował, czy ma istnieć, jako państwo, i mieć swoją niezależność polityczną, czy też poddać się, załamać, pod naporem dziesięciokrotnie przeważającej siły czerwonego Wschodu. I nastąpił t. zw. „Cud nad Wisłą“, zwycięstwo ducha Narodu Polskiego, który okazał się silniejszy od armat, kul, granatów i przewagi liczebnej najeźdźcy.

Marszałek Foch przypisuje zwycięstwo nad Niemcami nie sobie, lecz... nauczycielstwu szkół powszechnych Francji. A my, twórcy „Cudu nad Wisłą“, w szkole carskiej, prusko-austriacko-moskiewskiej w 95% wychowani, skądżeśmy tego ducha, tej tężyzny nabrali, by nad Wisłą, w pamiętne dni sierpniowe 1920 roku, znieść potworną wojny udrękę, narażać się po tysiąc razy na kalectwo (jedyne, czego się żołnierz boi), pokotem ciał swoich zatrzymać nawałę dzicy bolszewickiej, zmusić do odwrotu, zwyciężyć?

Któż rozdmuchał tę iskrę ofiarnego oddania się dla świętej sprawy, którą każdy Polak ma w piersi, z nią się rodzi i umiera, tak w pałacu, jak pod strzechą, czy w robotniczej izbie?...

To Wy, matki nasze, babki i prababki! Wyście były westalkami ognia miłości, Matki Matek Ojczyzny; wyście tę iskrę w płomień czynu roznieciły. Wyście były, jak proch w pocisku, którego kula zdecydowała, czy Polska ma być, czy nie.

Wódz nasz powiedział: „kto zaśnie na laurach, ten przegrał“, i dzisiaj jesteśmy na froncie nowej walki: o odbudowę gospodarczą. Polska musi wywalczyć swą niezależność i siłę ekonomiczną; do walki tej muszą stanąć, ramię przy ramieniu, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Jeżeli mężczyzna specjalnie był powołany do czynu orężnego, to obecnie kobieta ma teren ściślej określony: macierzyńską, wychowawczą pracę nad spadkobiercami „Cudu“; pracę, mającą być dalszem krzewieniem ideałów z ubiegłych lat, dostosowaną do wymogów doby obecnej.

Holstorp Henryk — Łąck.

### SŁABSI.

Nadchodzi więc dzień obchodu dziesięciolecia t. zw. „Cudu nad Wisłą“. Muszę na wstępie się przyznać, że szczerze nie lubię tego pompatycznego tytułu. Wierzę w Boga i w cuda, ale nie wierzę, żeby Pan Bóg akurat cudownie ucierał nosy tym, którzy ich sobie nie chcą, czy nie potrafią utrzyć sami. Żatem cud nie był cudem, interwencją sił najwyższych i pozaświatowych na korzyść ukochanej przez Boga Polski, tylko dziełem narodu, który powiedział sobie, że chce być, i będzie, i znalazł Wodza. Taka interpretacja faktu jest 1° zgodna z rzeczywistością, 2° pedagogiczna, wskazuje bowiem przyszłemu pokoleniu, co ono z kolei powinno myśleć, jak dalej prowadzić i utrwalać dzieło bohaterów, a nie liczyć na żaden cud.

Moje osobiste wspomnienia, niestety ukazały mi cud od strony... odwrotnej. Byłam z trójką powierzonych mi dzieci pod Wilnem, na wsi, kiedy „front pękł“.

Ojciec tych dzieci przysłał mi wraz z dorożką krótki nakaz: wsiadać i jechać do Wilna, bez chwili zwłoki, ostatni pociąg do Warszawy odchodzi za godzinę; rzeczy zabiorą, lub nie, potem.

Wracaliśmy właśnie z wyprawy na maliny. Wsiadliśmy do dorożki, chwyciwszy trochę zapasów spożywczych.

Znaleźliśmy się w prawdziwie mieszanym tłumie w wagonie I klasy, gdzie prześliczny akcent francuski nie zawsze licował z bardzo pośpiesznie dopiero w wagonie kompletowaną tualetą.

Panika w całej pełni.

Gdy pociąg stawał, czasem w polu, czasem na jakiejś stacji, przebiegał trwożliwszych dreszcz zgrozy.

— Most zerwany!

— Będziemy tu nocować.

— Nie dojedziemy do Warszawy. Bolszewicy przecięli drogę.

— Ale przecież... wyprzedzają nas pociągi wojskowe...

— Będziemy świadkami rzezi.

— Niekoniecznie już tylko świadkami!, wyrwa mi się, gdyż cierpliwość moja nie jest od morza do morza. Ale że przy tem nie mogę również pohamować wybuchu śmiechu, nikt się na mnie nie gniewa. Trochę w tem... kpiny, no, ale przecież ktoś się tu zaśmiał w tym wagonie.

Pociąg namyślił się i ruszył... uszy do góry!

W przedziale obok rozmawiają znajomi z nieznanymi, jak w III klasie. Wszystkie drzwi stoją otworem, nikt nie może znieść tak lubianej wspaniałości odosobnienia z normalnych czasów.

Jakiś pan, szlagon z głębokiej wsi, ubolewa, że swój zrujnowany folwarczek już, już zaczynał doprowadzać do porządku... A oni! jak mogli coś podobnego?... puszczają znowu bolszewika!... Miałem konia, trzy krowy mleczne, dwadzieścia kur... a teraz?...

Stajemy, tym razem na stacji; wszyscy znów rzucają się do okien.

Jakiś żołnierz nie wie gdzie się przyplątał, błady, z zapadniętymi, mglistymi oczami; podaje sensoryjne plotki:

— Jesteśmy... w kółeczku... Nie dojedziecie. Most zerwali, wymordują... biją, och biją naszych! Niema już, niema polskiej armji. Wilno wzięte, jutro...

Wołają go, pędzą ku niemu sami.

Już niesposób wytrzymać. Wychylam się i ja:

— Panie! Niech no pan uważa, bo pana lada chwila zaaresztują. Pan plecie od rzeczy, wiadomości wysane ze... strachu.

Żołnierz zniknął, jak kamfora. Pociąg wolno, z namysłem, rusza znowu.

Jakaś pani szeptem zaczyna opowiadać, że na wyjeździe z domu spotkała osobę, która onegdaj powróciła z Warszawy i słyszała wieść arcyprawdziwą, a tak jasno oświetlającą źródła ostatniej katastrofy: wykryto w Belwederze tajemne połączenie z Maskwą...

Robi się bezgranicznie smutno.

Za nami het, za sobą linją horyzontu nagła widza naszych szarych żołnierzy, którzy ostatkiem sił przeją się, i gną, giną, kładąc się wałem trupów pod nogi następującej dziczey. Nad nimi, jak żywy sztandar mocy, postać skupiona i olbrzymia ich umiłowanego Komendanta.

M. B. z Lubelskiego.

## Mocni.

*Kociaku mój najmilszy.*

Zaraz powiesz, że matka wypisuje „tra-ra, ra“; wszystko mi jedno, muszę Ci to powiedzieć, właśnie teraz. Nie chciałabym Cię chwalić, bo raz, że to niezdrowo, dla takich, jak ty, osiołków; a podrugie, że to, co zrobiłeś, to prosty obowiązek i nic więcej. O co innego mi chodzi. Wiedziałaś, że pójdziesz, jak wszyscy, jak trzeba, ale myślałam ze strachem, że jesteś jeszcze takie kocię małe, takie jedno, jedyne, po „babsku“ wychowane; jak to będzie? A teraz, gdy widzę, jak odrazu wszedłeś w żołnierską skórę, jak wszystko dobrze, porządnie idzie, to cieszę się bezmiernie. Wszystko, co robisz dotychczas, jest „moje“, jak Ty, caluteńki mój. Pomiętaj, żeby tak było dalej, zawsze, w trudnych momentach. Dotychczas kontenci by z Ciebie byli Twoi dziadkowie-żołnierze, niech tak będzie do końca, niech Cię Bóg strzeże od złego i od zachwiania się ducha; bądź taki, jak teraz jesteś.

Gdy tylko będziesz mógł, pisz. Przecież dla mnie zacznie się teraz coś, czego sobie nawet wyobrazić nie umiem; ale mniejsza, matki też muszą odczuć, że jest wojna; czyśmy to gorsze od Was?

Byłam dziś w szkole i zapisałam się do naszego koła opieki nad uczniem-żołnierzem; obie dziewczynki dyrektora w czołówkach. Oni, z czworga dzieci, ani jednego nie mają w domu. Tylko babuni nie mówię całej prawdy. Pamiętasz, jak się cieszyła, zobaczywszy cię w mundurze, ale teraz, kiedy wyjechałeś, to już na jej biedną głowinę byłoby za ciężko... wiedzieć. Wymyśliłam kursy prędkiego przeszkolenia wojskowego.

Pisz, Kochanie, Całujemy stokrotnie  
Warszawa — Sierpień.

Matka.

*Mamuśko,*

Co za droga, pycha! A co za rozkosz, ta pieczonka, którą dostałem od mamy! Nie napisałem zaraz, bo pociąg włócił się, jak smoła, 48 godzin. Jestem zdrow i jest byczo na całej linii. Przyjmują nas wszędzie, jak królów; na każdej stacji damy, i babulki, i chłopki, i dziewczęta, i chłopcy. Mleko i owoce (najada się Twoje dziecko do nieprzyzwoitości), i papierosy, i krzyk i uciecha.

Dziś stoimy, bo czekamy na transport koni dla baterji; lada godzina, lada chwila i ruszymy. Pamiętasz „baterję w ogniu“ Kossaka? Taki brzdąc się gapił i myślał, co to za dziwo! A teraz ja tak wsiadę i ja tak zawrócę i popędzę, teraz dla mnie ten straszny zaszczyt i szczęście! Wierzyć się nie chce, ale tak jest, jest i nie ucieknij. Służbę baterijną znam, jak pacierz, niema strachu. I Warszawy nie damy. Dziadek jest i my jesteśmy, nic się nie bójcie. Pisać będę, zawsze, jak będę mógł. Całuję łapki Tobie i babuni bardzo a bardzo.

Miejsce postoju — sierpień.

Synek.

K. C. — Warszawa.

## Wczoraj i jutro.

Dziesięć lat temu byłam w Grodnie. Okolice nad Niemnem, pierwszy raz widziane, zachwyciły mię, jako bliskie i dobrze znane z powieści Orzeszkowej. Dziwił most w powietrzu, drżący, gdy pociąg sunął powoli, ujęty w wąskie ramy barjery. Nowy dziw: z przepaści u stóp uśmiechały się fale. To Niemen. O skały i urwiska naokół rzeki! wszakże w nie zakłęte echo tęsknot i dumań wielkiej powieściopisarki.

Grodno samo dla mnie, to przedewszystkiem gród nieszczęsnej pamięci Ostatniego Sejmu Rzeczypospolitej, którego tragizm tak po mistrzowsku ujął Reymont.

To też, gdy błądziłam ulicami, pięłam się po kamienistym bruku, w górę, ogarniało mię dziwnie bolesne wrażenie. Ukłucie w samo serce i utajony gdzieś na dnie wstyd. Była to, jak się później okazało, także intuicja.

Wnet gromem spadła wieść: wojska nasze cofają się, klęska na całej linii, rozbitcie!

W alarmie niespodziewanych nowin pogubiły się codzienne myśli o ukojonym smutku, o szczęściu w czterech zacisznych ścianach.

Znikł też dla oczu nieznośny, fizycznie wprost raniący widok: szyldy, nakrapiane żydowskiemi hieroglifami i to wszędzie: na ulicy, w sklepach, kinach.

Zgroza i przerażenie, gdyż coraz bliższe nieszczęście, pędziło w siedmiomilowych chyba butach ku stolicy. Nie tajne to już było wtedy. „Będziesz musiała wyjechać jak najprędzej“, mówi mąż. Och! kurczyło się serce w trwodze.

Aż pewnego dnia, gdy na stacji stały już ewakuacyjne wagony, zaroilo się miasto w jednej chwili tłumem tysiącnym, rozdygotały ulice od pędu aut, pisku,

krzyku, w gorączce rzucanych szybkich pytań i odpowiedzi. Obok bezładnie skłębionych, zdemoralizowanych odwrotem, żołnierzy, środkiem ulicy i bokami ciągnęła druga armja, stokroć nieszczęsna: cywile, wyrzuceni z odwiecznych siedzib, w których gospodarzył już wróg. Zgliszcza tam i popioły tylko, opowiada zdławiony łzami szept. Oczy posepnie patrzą, zwrócone w szlak tułactwa, choć stopy popuchły od utrudzeń, długiej, pieszej wędrówki. Byle dalej i dalej, gdzie szatan i mord nie dotrze, szatan: czerwony bolszewik! Jego to wspomnienie budzi jęk, płacz i przekleństwa, milknące z chwilą, gdy udało się znaleźć miejsce w ewakuacyjnym pociągu, który bezdomnym i bezbronnym urasta naprawdę w arkę wybawienia.

Obok mnie, w tym samym wagonie, ciężko chore, kilkumiesięczne niemowlę ginęło w oczach. Cóż znaczyły objęcia najczulsze, gdy lekarz tylko mógł pomóc? Wysiadła z niem matka na najbliższej stacji, żegnana współczującymi życzeniami.

Każdy moment następny pelen jest tragicznej, szarpiącej treści. Znow transporty wojsk, idą pociągi długim, długim węzłem w opuszczone przez nas strony. Prawda, uśmiech skrywa lęk przed jutrem, powietrze drży od niskich, basowych tonów, śpiewają tak hucznie, junacko: „Hej! tam, pod Warszawą...“ i jeszcze: „Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani...?“ Grzmi pieśń, jak burza, wyzywa Dni, idące w Tajemnicy, Niepewności.

A nastawione ku nam jeno srebrnym migotem armat, wiezionych hen, na wschód i północ.

Tam, w huku dział, o straszliwa, straszliwa muzyko! Śmierć żniwo pełni, stuplonna w każdej godzinie, jak piorun szybka, okrutna logika zniszczenia.

I wracają już, wracają żenicy. Ciała, do posągów podobne, zmieniły rany w zmięty i krwawy łachman. Jęki wibrują w wietrze, w przelocie pociągu, naznaczonego czerwonym krzyżem. To sanitarny, prosto z frontu. Jeden i drugi, coraz dłuższy i coraz wymowniejszy. Piekło ucieczki staje się zwolna Golgotą, bo nic pomóc nie można, i tu i tam, gdy tyle niedoli, wieki chyba ciągnącej się, wędrówki.

O ziemio-rodzicielko! tyś nietylko życia, ale i śmierci matką, nad życie i śmierć ukochana w godzinie budzącej dźwięk surm bitewnych, gdy Wojna i Pożoga pustoszą sady! Jawisz się duszy, jak szczęście, które można utracić i, jak za szczęście, idą walczyć, ginąć w obronie Twojej, żołnierze, Ojczyzno moja.

Odetchnęłam w wiosce tak cichej i spokojnej, iż rzeczywistość przeżyta czyniła snem koszmarnym.

Jednak i tu wiedziano już o odwrocie z gazet, które w lakonicznych komunikatach ostrzegały, uzupełnione zresztą szerszemi komentarzami ustnemi: „Bolszewicy postępują ciągle naprzód, zbliżają się ku Warszawie, zajęli Osowiec, stolica zagrożona, stolica w niebezpieczeństwie!“

Smutek ogarnął nawet kobiety, umęczone trudem nad siły w domu i w polu.

O Jezu! Jezu! lamentowały, co też to luda wytraci bolszewik zatracony!

— Wicie, Polski mu się zachciewo! ać! i tuby przysył!

Nie damy się!

Tak uradzały rozjątrzone pracą, a jeszcze więcej brakiem „chłopskiej“ pomocy, gdy mężowie i synowie, bracia co starsi, w wojsku. Miasto najbliższe również puste; słyszę, harcerze pociągnęli pod sztandary, niektórzy z nich ukradkiem. Dumne, harde, łakome walki, lwiatka! O starszych niema co wspominać.

— Trzech braci pożegnałam, opowiada dawna towarzyszka zabaw, wyobraź sobie, klócili się całymi dniami o przekonania, orientacje polityczne, każdy inne; ale gdy Grodno padło, zapomnieli o wszystkim i w tajemnicy jeden przed drugim, do szeregów.

Czy zwyciężymy?! Ta jedna tylko obawa nurtowała myśli, serca i dusze. Nią usprawiedliwiała matka łzy, płynące bez wiedzy, o zmierzchu, a kójone modlitwą, ofiarą i pomocą w szpitalach, ciągle pełnych. Szarzał ból i niedostatek, śmierć nawet, wobec pytania, które wstrząsało całym krajem, ogniste, nakształt gromu, głośnie, jak dzwon, co bije na trwogę, i wciąż woła, wciąż woła:

Czy zwyciężymy?!

W one to godziny niezapomniane, przejmujące do głębi, jak pokutne „memento“, stanęła przed oczyma przeszłość, życie całe, które za dni niewoli, myślą i czuciem i tęsknotą serdeczną rzucało niebu to samo pytanie-modlitwę:

Czy zwyciężymy?!

W radości i pięknie dni wiosennych, zanim zrozumieć mogło, ukochało Cię dziecko, Ojczyzno! Ty, coś bólem pierwszym przeszła serce o poranku, poznanie męki Twej miosącym; obraz Wolności, przybitej do Krzyża Niewoli.

Potem już dzień każdy, rok każdy, dalej wiódł w oną Golgotę, kędy bohaterstwo szczytu dosięga, niezgaszła światła niecałe; wiarę, co góry przenosi; nadzieję, co ciemność łamie; miłość, co śmierć zwycięża! I na ścieżkach owych słyszałam: nadejdzie Dzień Trzeci, Zagrzmi Róg u Wawelskiego Dworu, budząc śpiące do walki rycerze! Długo, długo, wieki całe snuła się o tem baśń-nie-baśń, aż jawą rozkwitł sen o strzelcu-legjoniście, o prześlicznym polskim żołnierzu, który w Karpatach i pod Rokitną, na wszechziemi polach w męstwo i sławę urosł, nim do wrót Warszawy zabiegł, nim wszedł tam na karkach wrażeń, stargawszy łańcuchy niewoli, sto lat, sto lat nad Wisłą władztwo dzierżącej.

Było z Nim miljon serc takich, jak moje, choć w tęsknocie tylko, choć w pieśni tylko o Wolności, grającej na krwawych polach i wszędzie, gdziekolwiek szabli cięcie godziło w łańcuchy niewolne, w mgły niewolne.

I zwyciężyli, ach! zwyciężyli wszyscy, w zwartym duchowym froncie wroga odparłszy, wpierv, nim grom uderzył, co na proch starł nikczemne, podle despotów zamysły.

Więc i dzisiaj zwycięża, muszą zwyciężyć w zgodzie, jednoczącej kraj od krańca w kraniec, od suterenu do pałaców, pod hasłem potężnej, niezwalczonej Ojczyzny!

W dwa dni później gazety obwieściły urbi et orbi o wielkim triumfie nad Wisłą, o klęsce bolszewickiej tłuszczy, uciekającej w panicznym strachu na wschód i wciąż na wschód. Warszawa, kraj cały był wolny.

Tyś to sprawiła, o święta, ofiarna miłości, najczystsza z uczuć i najpotężniejsza; Ty, coś jest Jedynym Cudem prawości, zgody, mocy i wytrwania w Zwycięstwie przez pracowity Dzień Dzisiejszy, Wczoraj, triumfem promienne, i niewiadome Jutro, wiodące naród za Dobrem, Pięknem i Prawdą ku słońcu wszechświata.

Zofja Persomska — Byteń

## W jedności.

Gmatwanina, niespodzianki i gorączka życia szarego, codziennego, przyciemniają rozległy horyzont w całokształcie naszego świadomego bytowania.

Pracujemy, pożywiamy się, „rozrywamy się“, jakoś bez specjalnego syntetycznego ujęcia.

Gubi się człowiek w chaosie pospolitych, przeciwnych zajęć, i zanika myśl, że jednakże jest częścią (mniej lub więcej udaną) w Odrodzonym Państwie.

A przecież jesteśmy pokoleniem przedwojennym, wychowanym w romantyzmie, w tradycji powstań; jesteśmy współtwórcami legjonów 14-go roku.

I choć świat ideałów, który przyświecał w zaraniu młodości, przygasiły przyziemne kłopoty, to jednak przychodzą momenty wstrząsu psychicznego i z oddalenia kilkuletniego pewne wypadki nabierają uwypuklenia, choć w chwili przeżywania były jakby niedoceniane.

Naogół my, twórcze wojenne pokolenie, wspomnień nie lubimy. Za dużo w nich grozy, strat, zawodów i krzywd. Jaknajdalej od tego, co wionęło czarną, beznadziejną nocą i zdawało się beznadziejnym wysiłkiem. Takie były kategorie przeżyć narodowych i osobistych.

Człowiek nie jest widać, w głębi duszy bohaterem „na stałe“ ustabilizowanym... i nastawienie na rzeczy wielkie rychło go zmorduje; wtedy wzdycha do małego, filisterskiego życia.

Przychodzą rocznice, w których należałoby uczynić rachunek z naszych przeżyć i odruchów. (Jaka szkoda, że nie... czynów!).

Przyszła Wielka Wiosna 1920 r. Pisma wszystkich odcieni grubymi czcionkami oznajmiały zwycięstwo Polskiego Żołnierza. Kijów Chrobręgo zdobyty, nieśmy prawdziwą swobodę i wolność; duma rozpierała piersi: uczynimy bratni naród szczęśliwym!

Nie długo tego było. W lipcu zaczęły przychodzić wieści zrazu niejasne, później niespokojne, następnie groźne: nasz żołnierz ustępował, a przychodziły hordy dziczy kozackiej (och, jak dobrze je pamiętamy z przed wojny!), zalewały kraj, pustoszyły go, niosąc na końcach szabel śmierć i pożogę.

Sierpień... grozę powiększało zetknięcie się z ewakuowanymi z Sarn, Winnicy, wogóle z kresów wschodnio-południowych, emigranci opowiadali rzeczy, ścinające krew w żyłach... Więc naprawdę bardzo, bardzo źle... Trzeba wyjechać do miasta, zobaczyć, co się robi, jak radzi, boć przecież w głębi duszy została wiara w Wodza i żołnierza.

Miasto oklejone dokładnie jaskrawymi afiszami. Moc ludzi na ulicach. Młodzieńcy z brawurą w ruchach, grupami maszerują i śpiewają. To ochotnicy. Więc te dzieci... to nasza obrona!? Jakiś starszy jegośność na rogu ulicy wykrzykuje: „Towarzysze! Gości mamy ze wschodu! Nieproszonych! Pała nas, grabią, raj bolszewicki tworzą! Nie dajmy się bandytom! Precz z Polski, moskiewscy złodzieje! Kto zdrowy, młody, na front! Na wroga! Nie dajmy się! Niech żyje P. P. S!“

Patrzcie... tacy proletariusze, co to w czasie pokoju łączą się z proletariuszami wszystkich krajów, teraz z karabinami na nieproszonych gości... Raźniej mi się zrobiło.

Zbliżam się znowu do jakiejś grupy i tutaj naganka na wroga: „Panowie! Nieprzyjaciół u bram Warszawy! Całe chrześcijaństwo zagrożone! Komu wolność narodu i religja miła, na front! Kto chce spokojnie uczyć dzieci pacierza i pracować we własnym warsztacie, na front! Niech nikogo nie zabraknie przy zrzucaniu jarzma moskiewskiego! Niech

żyje Chrześcijańska Demokracja!“ Zastanowiło mnie. I tu rycerski duch ożył. Nabieram otuchy. Na rynku znowu zbiegowisko... Nie, doprawdy, co za dzień!

„Obywatele! Krwawo zdobyliśmy naszą Ojczyznę! Kosztowała Ona życie naszych najlepszych synów, którzy od lat 6-ciu krwawią na froncie! Klimontów, Łowczówek, Polska Góra, przelana krew bohaterskich synów Ojczyzny, nakazuje wam! Wszyscy bez wyjątku, stanąć do szeregu! Bronić Wolności, zdobyte ciężkimi ofiarami kwiatu młodzieży Polskiej! Ożywni wiarą w Wodza, bagnetem utrwalimy Polsce granice! Niech żyje P. O. W.!!!

Niech żyje... niech żyje!

Na Piotrkowskiej maszerują sokoli, naraz dowódca zatrzymuje oddział: zbiegowisko.

„Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród! Hańba temu, kto bez mundur! Wszyscy do szeregu! Ojczyzna-Matka wzywa! Na bój!“ Tak odprowadzał na stację komendant swoich łódzkich sokołów.

O... myślę, nie damy się... zadziwiająca jedność narodowa. (Gdyby to tak pozostało...).

Obserwuję oddział maszerujących ochotników. Nie tacy znowu najmłodszy: bojówka P. P. S., sokoli, strzelcy. Naraz patrzę: Kazik! Już przeszedł, nie widział, a przecież to ojciec dwojga drobnych dzieci, mój kuzyn. No, jeśli Kazik... stary legun. Boże, Boże, żeby tylko zdrow...

Jeszcze parę dni i ulga. Nieprzyjacielski front przerwany nad Wieprzem. Dżicz musi uciekać z pod Warszawy. Teraz to już pójdzie na hurra! I poszło.

Łodzianka.

## Ofiary.

Dochodzą nas wieści coraz gorsze. Armja bolszewicka zajęła Mińsk, Baranowicze, walki toczą się gdzieś pod Wołkowyskiem... Szpital nasz, załadowany w pociągu towarowym, cofa się w miarę pomyślnych posunięć wroga. Stoimy czasem po parę dni na jednej stacji, czasem rozkazy pchają nas naprzód bez przerwy; pociąg z małymi postojami jedzie 12 i więcej godzin.

Nikomu wysiadać nie wolno. Siedzimy w otwartych wrotach wagonu z nogami spuszczone i gryziemy suchary, polewając je mlekiem z puszek. Na noc zatrzymujemy się. Kuchnia polowa może już „działać“, śniadanie dają nam o 9 wieczorem, na obiad budzą (bez skutku) o 12 w nocy, do kolacji „proszą“ nad ranem. Porcja dzienna musi być wydawana, ale my dziękujemy uprzejmie, wolimy spać.

Wreszcie po długim, parodniowym postoju w Modlinie (słońce praży niemiłosiernie, z upału spać nawet nie można, jeden z lekarzy chory od poparzenia) każą nam się rozładowywać w dużym mieście. Zajmujemy gmach gimnazjum. W ogromnej sali fortepian (Bechstein!), organy... Po naszym życiu koczowniczym nagle zjawia cywilizacji i piękna. Nie mogę „zdzierżyć“, siadam, gram. Ale dosyć! Muzyka nie dla nas, fortepian za piękny, my jesteśmy tu poco innego. Z trzaskiem zamykam wieko instrumentu. Tony brzmia jeszcze cicho po kątach sali, gdzie za parę dni rozlegną się jęki chorych... Ja do roboty.

Wieści coraz gorsze.

Już się urządziliśmy. Chirurgja na trzecim piętrze.

Dostajemy pierwszych rannych. Zaczyna się orka. Rannych coraz więcej. Zapelniają się sale... Nagle katastrofa: przywieźli dezynteryków. Szpitale zakaźne przepełnione, epidemja szerzy się zastraszająco. Łózek brak, chorych kładzie się pokotem na siennikach, na korytarzach. Wszędzie jęki, okrzyki: „wody!“ Śmierć wygląda z każdego oczu... Po kilkunastu, po kilkudziesięciu dziennie wynoszą cichych, nie potrzebujących już nas - sióstr.

Cały oddział wewnętrzny naszego szpitala zmieniony na zakaźny. Zarazę nosimy do naszych rannych, na trzecie piętro. Coraz któregoś z naszych biedaków oddajemy na dół.

Mam dyżur nocny. Obchodzę sale rannych. Tu zastrzyk trzeba robić, tam podać lekarstwo, wszystko według notatek, sporządzonych przy przyjmowaniu sal na noc od innych sióstr. Cisza. Moje pantofle sukienne pozwalają mi przesuwając się cicho, nie budząc śpiących. Jeden z chorych wzywa mnie cichutko: „Siostró, wody!“ Podaję. „Czy długo będę tak cierpieć?“ Mnie lży się kręć w oczach... (Niedługo, biedaku, spóźniona amputacja, kwestja kilku dni, może godzin), zwilżone wargi tracą siność, szepczą jeszcze coś, chory oczy zamyka. Odchodzę.

„Czy dla mnie jest ratunek?“, dochodzi mnie syczący, przeraźliwy szepet.

„Niech się pan uspokoi, kula już wyjęta, tylko głową nie ruszać. Za parę dni zaczną i siły wracać“. Zaspia.

Wychodzę na korytarz. Zbliżam się do drzwi następnej sali. Wtem leci ku mnie sanitariuszka: „Siostró, tam na dole kona!“

Biegniemy razem.

Pałają się tylko świece i to rzadko. Na korytarzu potracam jakieś nosze, jakieś barłogi... Wchodzę do salki. Półmrok. W rogu dogasa świeca. Z łóżka podnosi się postać chuda, okropna; twarz czarna, oczy żarzą się jakąś nienawiścią, z ust pada ku mnie potok zrozumiałych, choć niezastużonych, przekleństw. To mówi Ból. Zbliżam się. Sanitarjuszka ciągnie mnie za rękaw.

„To nie ten, tam, pod oknem“.

Leży na łóżku szkielet ludzki. Dochodzi mnie słabe rżenie. Biorę za puls.

„Leć po doktora, przynieś eter, kamfory i strzykawkę“.

Czekam. Słychać jęki i przekleństwa tamtego. Powietrze straszne, dostaję mdłości i zawrotu głowy. Jest doktor. Rzucił mi: „Kamfora“.

„Ile?“

„Dużo!“

Igły nie wyjmuję z ciała, ampulkę tłukę za ampulką. Patrzę na twarz chorego. Oddech coraz słabszy. Doktor ręki jego nie wypuszcza.

„Szósta“, mówię cicho.

„Nie trzeba więcej“, rękę chorego opuszcza.

Tak, koniec. Ten o twarzy upiornej cichnie na chwilę. Żegnaj się. Oczy zmarłemu przemykam.

„Zaraz go zabierzcie“, szepczą sanitariuszowi.

Rozdałam lekarstwa. Posypał się za mną znów grad jęków ludzkich i słów rozpaczki.

I tak do rana.

Umarło przy mnie 5-ciu. Schodząc z dyżuru, zostawiłam w agonji kilkunastu.

Gazet nie mamy parę dni. Wiemy jednak, że bolszewicy są już pod Warszawą. Nie mam czasu badać mapy. Dochodzi nas odległy huk armat. Jest w nas wiara, że Polska to nie epizod w dziejach ludzkości, że, jeśli powstała z martwych, to nie po to, by znów zginąć. Mamy wiarę, mamy pewność, która nas przepelnia i widzimy naocznie ofiarę krwi, która próżna być nie może! Serce nam pęka z bólu, że ofiara tak ciężka, tak krwawa. „Nie czas żałować róż“, jednak...

Nareszcie zwolniono nas z zakaźnych.

Znów dyżur nocny. W izbie przyjęć bałagan. Idę pomagać. Z lekarzem „segregujemy“ chorych. „Sala ósma“. „Jakto?“ na „oficerską“ bolszewicy?“ pytam zgorziona.

„My nie bolszewiki, my z Polską“, młody, wesół głos kozaka (z armji Bałachowicza).

Prowadzę ich na górę. „Ja tego nosić nie będę“, mówi jeden po rosyjsku, pokazując woreczek z piaskiem, zawieszony u przestrelonego ramienia; ot siostrzyczko przywiesili, tak nosić będę!“ Tłumię śmiech, ale oczami gromię zawadżkę. Oficerów trzeba krótko trzymać, to nasza dewiza. A ja mam właśnie salę oficerską, prócz dwóch żołnierskich.

Dzień ostatecznej rozprawy i przesilenia pod Warszawą był dla nas ciężki. Wieści żadnych. Wszystko się urwało. Żołnierze prawią dziwy, coraz ktoś poploch wywołuje: „Warszawa wzięta!“

Mało mówimy. Oczy jakby szklane, z gorączki, ze zmęczenia, z niepokoju, z bólu wreszcie nad cudzym bólem. Nogi popuchnięte. Ciągłe opatrunki i operacje.



„Biały Krzyż“. — Wojciech Kossak.

Mój sanitariusz z sali 7-ej (jeniec-bolszewik) wpada do mnie na opatrunkową: „krwotok“. Przybiegam. Chory biały, jak chusta, krew pod łóżkiem utworzyła czarną, skrzeplą kałużę.

Wezwany doktor orzekł: „Operacja natychmiast“. Rana aorty.

Muszę dawać narkozę, lekarze zajęci.

„Ja chcę żyć.“, cichutki, serce przenikający szept. Usypia po jednej kropli. Ja duszę się, sama się narkotyzuję, przykryta na głowę wraz z głową chorego, bo operacja tuż, tuż. Serce odkryte, widać jego skurcze.

Żył jeszcze dobę. Nigdy nie zapomnę jego nazwiska i nigdy nie zapomnę jego ostatniego spojrzenia, którym mnie przywołał. Spojrzenie było już z zaświatów.

„Co pan chce?“

Ostatni szept: „pomarańczy...“

Nie spełniłam ostatniego życzenia, w całym mieście pomarańcz nie było. Po śmierci wyglądał, jak anioł spokoju.

Jak grom wreszcie padła wieść: Zwycięstwo! Warszawa ocalona!

Nie było słów na modlitwy. Dusza była jednym hymnem radości. Nikt się nie śmiał, lecz oczy każdego były promienne. Tak się stać musiało.

A tym, którzy Polski bronili, którzy żyją i tym, którzy odeszli, życia nie przeżywszy, Cześć!

*Częstochowianka.*

## Tak wszędzie było.

Byłam wówczas uczennicą gimnazjum, a tem samem „jednostką“ ogromnie skrepowaną. Nauka w zakładzie szła niernormalnym trybem, co kilka dni bowiem żegnaliśmy profesorów, którzy, widząc grożące krajowi niebezpieczeństwo, stawali do śmiertelnych zapasów, porzucając placówki pracy. Umysł nasz pochłonięty był tylko wypadkami wojennymi; myśli błądziły po okopach i pozycjach, szukając w szarym tłumie żołnierzy swoich najbliższych, ojców i braci.

Noc, ta chwila spoczynku, nie przynosiła ukojenia, a raczej rzucała na znękany umysł dziwny, trwożny cień. W snach widziało się drogie istoty broczące krwią, wołające o pomoc, żebrzące kropli wody, lub konające w strasznych męczarniach. Albo znowu zwycięskie hufce, maszerujące ze śpiewem na ustach. Budziłam się szybko, zmęczona koszmarnym snem, modląc się do Najświętszej Pani o zwycięstwo, w które święcie wierzyłam.

Czułam się tylko ogromnie upokorzona, że jestem dziewczynką, a nie chłopcem, że śpię w wygodnym łóżku, podczas, gdy moi starsi i młodszy koledzy są w szeregach i walczą, zbierają laury zwycięstwa, a ja... Wprawdzie pracowałam w organizacjach niesienia pomocy żołnierzom, ale czegoby to człowiek dokazał na froncie, gdyby go tam powołali! Poczulałam dziwną niechęć do swojej płci, niechęć, spotęgowaną zazdrością dla współtowarzyszy. Przecież i ja Polskę kocham, mówiłam często, dla czego nie jestem Jej użyteczna?

Dopiero pożegnalne przemówienie jednego z profesorów otworzyło mi oczy i dało światopogląd na przyszłość. Poczulałam, jak wielkie leżą przed nami prace i obowiązki. Mężczyźni bowiem, walcząc na froncie, bronią granic Polski, a niewiasta polska powinna czuwać, powinna stać na straży tych granic przez dzielną współpracę. „Przed kobietą-polką otwiera się wielkie zadanie, baczenie więc, abyście mu sprostaly, gdyż Polska, znękana przejściami, będzie potrzebowała dzielnych budowniczych, a tymi budowniczymi winne być niewiasty polskie“.

Słowa profesora wlały otuchę w nurtowane upokorzeniem serce; praca dla Polski jest wszędzie, pomyślałam, nietylko na froncie.

I tak zbliżył się koniec roku szkolnego. Opuściłam na zawsze szkolne mury i wyjechałam z Lublina, kolebki moich marzeń młodocianych. Przybyłam do Krasnegostawu; pełna zapалу do pracy społecznej na szerszą skalę w gronie ludzi doro-

szych (dziwnie mi to imponowało). Pracę zastałam bardzo dobrze zorganizowaną. Przedewszystkiem więc T-wo Przyjaciół Żołnierza Polskiego, dobrze prosperujące pod niezmordowanym kierunkiem księdza St. Szepietowskiego. Ręk w Towarzystwie było potrzeba, zostałam więc natychmiast powołana. Stałe zbiórki produktów żywnościowych, szycie bielizny w specjalnie zorganizowanej szwalni żołnierskiej, dyżury w kuchni, wybudowanej na stacji kolejowej. Słowem, poczułam, że jestem użyteczna i dodało mi to wielkiej otuchy; żal do swojej płci opuścił mnie już bezpowrotnie, gdy ujrzałam, jak wiele można zrobić przy dobrych chęciach. Najmilsze były dyżury w kuchni żołnierskiej. Zgłodniali i pomęczeni chłopcy skwapliwie pochłaniali rozdawane im racje, a gdy już zaspokoiili głód, śpiewali rzewne piosenki. Echo niesło w dal po rosie wieczornej słowa: „za rok, za dzień, za chwilę, razem nie będzie nas“. Odjeżdżali potem, suto zaopatrzeni w żywność przez hojne dyżurne, żegnani smętnym wzrokiem i lęklwym znakiem krzyża, wszyscy, choć obcy, bliscy i kochani.

Zebrał się i u nas kwiat młodzieży, zameldował w biurze zaciągu do wojska, wołając: „my chcemy na front!“ I poszli znów, żegnani przez dzielne matki (niektóre po trzech synów wyprawiły), przez siostry i narzeczone, osypani kwiatami. I dokonali cudu nad ukochaną Wisłą.

*Pola Pawłowska — Krasnystaw.*



*Ochotnicy z Krasnegostawu.*

## Veni...

(Modlitwa, napisana w sierpniu 1920 r., przez osobę, która nie była literatką i nigdy przedtem ani potem nie pisała wierszy).

Przyjdź, Duchu Święty, Odrodzenia Panie,  
na ziemię naszą, zlaną krwią ofiarną,  
oddal nawałę, gromami ciężarną,  
przez Twoje święte gromy i błyskanie,  
zbierz duchy silne w jeden hufiec bratni,  
na bój o Polskę, przemożny, ostatni.  
Przyjdź, Duchu Święty, Odrodzenia Panie,  
naród z odmetu wydzwignij nicości,  
zetrzyj niezgodę, zdrady, spory, złości,  
tchnij w nas Ojczyzny wolnej ukochanie.  
Wróć dzielnie jedność, zwiąż w święte krewieństwo  
i najtrudniejszą rzecz stwórz: posłuszeństwo.  
Przyjdź, Duchu Święty, Odrodzenia Panie,  
daj wszystkim dusze niezłomnych rycerzy,  
spraw, niech lud cały w zwycięstwo uwierzy,  
niech Twych wybranych cnotę ma: wytrwanie.  
Pokrzep zwątlale, nawróć przeniwierce,  
spraw, by serc milion bił, jak jedno serce.

*L. H.*